**Nr. 2** **Poznań, dnia 10 stycznia 1909 r.** **Rok XIII**

**Abonament**
wynosi kwartalnie
na poczcie. . . 1,50
z odnoszeniem
do domu . . 1,62
pod opaską . . 2,75

# PRACA

## TYGODNIK POLITYCZNY I LITERACKI, ILLUSTROWANY.

**Adres Redakcyi:**
Poznań,
ul. Rycerska Nr. 38
Telefon Nr. 97.
**Ogłoszenia:**
od wiersza drobnego
30 fen.



# ROK 1908.

Rok ubiegły, który zakończył się bezprzykładnym w dziejach kataklizmem, okropnem trzęsieniem ziemi w Sycylii i Kalabryi, niszczącem doszczętnie szereg kwitnących miast i wiosek i pozbawiającem życia blizko 200 tysięcy ludzi — rok ten zapisał się głęboko w pamięci współczesnych, był on bowiem szczególnie płodny w wielkie i doniosłe wydarzenia polityczne.

Najważniejszym jego rysem jest ujawnienie się ogromnego wzrostu w świecie wpływów angielskich z równomiernem obniżeniem się prestigium Niemiec w Europie. Zwrot ten przygotowywał się od dawna. Już za czasów konferencyi marokańskiej, obliczonej na pognębienie francuskiej polityki w Maroku, uwydatniło się t. zw. odosobnienie Niemiec. Stało się ono zatrważającem z chwilą, gdy Rosya oświadczyła się na konferencyi w Algeciras przeciwko austryackiemu projektowi i stanęła zdecydowanie po stronie Francyi, niepomna na dowody przyjaźni, świadczonej ze strony Niemiec podczas niefortunnej dla Rosyi wojny na dalekim wschodzie. Ukarał Rosyę za tę „nielojalność“ wprawdzie książę Bülow, odmawiając jej pożyczki, lecz Rosya znalazła potrzebne kapitały we Francyi. Rezultatem tych zawikłań było znaczne ochłodzenie się stosunków rosyjsko-niemieckich, które wyzyskał genialny dyplomata na angielskim tronie. Stało się to na słynnym zjeździe w Rewlu, gdzie przyszło pomiędzy Rosyą a Anglią do porozumienia we wszystkich ważniejszych spornych sprawach. A ponieważ historyczny zjazd ten odbył się po odwiedzinach Faliera w Londynie i wyniki jego we Francyi przyjęte zostały z zapałem wielkim, więc nie było wątpliwości, że przeciwko nadwerężonemu trójprzymierzu niemiecko-austryacko-włoskiemu podniosło się nowe polityczne ugrupowanie angielsko-francusko-rosyjskie.

W Niemczech wiadomość o układach rewelskich wywołała burzę rozgoryczenia, a nawet cesarz niemiecki głośno uskarżał się w Döberitz na angielski zamysł okrążenia Niemiec.

Jakoż nowe to ugrupowanie polityczne przykro dało się Niemcom we znaki.

Do trudności w zagranicznej polityce Niemiec, która — jak to nawet niemieckie pisma stwierdziy — prowadziła naród od klęski do klęski, dołączyły się znaczne trudności wewnętrzne. Do najważniejszych należy trudność uporania się z t. zw. reformą finansową, wymagającą według obliczeń rządowych podwyższenia rocznych dochodów rzeszy o pół miliarda marek, a natrafiająca w formie przez rząd proponowanej na ostre przeciwieństwo w parlamencie. Takie ohydne procesy na tle zbrodni przeciw moralności, w które wmieszani byli wybitni i liczni dygnitarze, nie przysporzyły uroku cesarstwu niemieckiemu, a bezwzględna polityka antypolska, która doprowadziła do takich potworności, jak zakaz używania języka polskiego na zebraniach publicznych i słynna ustawa wywłaszczycielska, pozbawiła Niemców dużo moralnego kredytu za granicą. I nie tylko moralnie, lecz materyalnie zaszkodziła ta polityka cesarstwu niemieckiemu. Z jej to bowiem powodu uwydatnił się na ziemiach polskich bojkot towarów niemieckich, który handlowi i przemysłowi niemieckiemu dotkliwe zadał i zadaje straty. Nie ulega także wątpliwości, że właśnie ostatnie niemieckike ustawy antypolskie otworzyły Słowianom oczy na niebezpieczeństwo grożące światu słowiańskiemu ze strony Niemiec i przyczyniły się walnie do popchnięcia naprzód sprawy słowiańskiej, czego widomym znakiem był praski kongres słowiański, na którym bądź co bądź idea łączności słowiańskiej wyraźnie się zamanifestowała, lubo na razie namacalnych korzyści nie przyniosła, głównie z powodu fatalnej polityki rządu rosyjskiego, który uwolniony od widma rewolucyi więcej niż kiedykolwiek oddał się swym tradycyjnym reakcyjnym, antysłowiańskim zapędom. Koroną klęsk, jakie zeszły rok przyniósł Niemcom, były fatalne rewelacye angielskie, dotyczące słynnej rozmowy cesarskiej z szeregiem wybitnych angielskich polityków. Wrzawa, jaką ta sprawa wywołała w świecie, rozgoryczenie, jakiem napełniła przedewszystkiem same Niemcy, jeszcze w świeżej jest pamięci.

Podczas gdy rok 1908 był dla idei monarchicznej w Niemczech bardzo złowrogi, w Austryi idea ta prawdziwy tryumf święciła z okazyi jubileuszowych obchodów sześćdziesięcioletnich rządów powszechnie kochanego cesarza Franciszka Józefa. Niestety jednak i Austrya nie po różach stąpała w ubiegłym roku. Podniosły tam głowę żywiej niż kiedykolwiek ostre waśni narodowościowe, uwydatniające się w Galicyi bądź to w krwawych star-

ciach wywoływanych przez Rusinów, bądź w tendencyach zruszczenia lwowskiego uniwersytetu, bądź to w krwawych zajściach na Śląsku austryackim i Czechach, gdzie dopiero obwołanie stanu oblężenia w Pradze jaki taki ład przywróciło. Najstraszniejszym pomnikiem szowinizmu narodowościowego było zabójstwo namiestnika galicyjskiego hr. Andrzeja Potockiego, męża, którego szerokie koła polskie oskarżały o zbytnią wobec Rusinów ustępliwość.

Największe jednak trudności grożą Austryi ze strony półwyspu bałkańskiego, gdzie po pokojowej rewolucyi tureckiej, wskrzeszającej w Turcyi parlament, zaszły znaczne zmiany stosunków, które zmusiły z jednej strony Bułgaryę do ogłoszenia niezawisłości, z drugiej Austryę do aneksyi Bośni i Hercegowiny. Doniosły ten akt austryacki wywołał wielkie rozgoryczenie w Turcyi, objawiające się w ostrym bojkocie towarów austryackich, co handel i przemysł austyacki na wielkie naraża straty, w Serbii zaś i Czarnogórze rozpalił do białości nienawiść przeciw Austryi tak, że niebezpieczeństwo wojny chwilami zdawało się nieuniknione. Po za tem wszystkiem zaś czuć wprawną rękę angielskiej dyplomacyi, która umyślnie porusza przeciw Austryi maryonetki bałkańskie celem unaocznienia jej wielkich niedogodności, jakie dla niej ze związków z Niemcami wynikają. Nie darmo któryś z dyplomatów oświadczył, że wszystko, co się dzieje na Bałkanie, jest niczem więcej, jak pojedynkiem pomiędzy Anglią a Niemcami. Także Rosya wyparta wskutek nieszczęśliwej wojny z Japonią na dalekim wschodzie, zaangażowała się ostatnio wielce na Bałkanie w kierunku Austryi nieprzyjaznym. Zatem stosunki polityczne na blizkim wschodzie przedstawiają się niepomyślnie i nikt powiedzieć nie może, jakie stąd wypadną ewentualności. Jakkolwiek źle jest, jednakże można żywić nadzieję pokojowego rozwikłania gmatwaniny bałkańskiej, gdyż istnieje faktycznie silny sojusz niemiecko-austryacki. Jestto zaś potęga taka, że może zaryzykować wojnę na trzy fronty z dość znacznem prawdopodobieństwem wygranej. Wobec tego wojna europejska zdaje się być nie zbyt prawdopodobną. Austrya dziś trzyma losy Europy, ściśle mówiąc losy Niemiec w swojem ręku.

W trzeciem państwie, które nas blisko obchodzi, w Rosyi, ostatni rok zaznaczył się powrotem tamecznych rządów do reakcyi na całej linii. W Królestwie zaś cofnięto wszelkie ustępstwa, jakie Polakom dano na polu narodowem. Zelżał trochę nacisk wywierany na prasę i została względna swoboda religijna.

Dla nas Polaków ostatni ten rok nie był szczęśliwy nigdzie. Wprost okropny był w zaborze pruskim, gdzie pozbawił nas sporej części praw językowych i zawiesił damoklesowy miecz niepewności nad karkiem ziemiaństwa naszego. Jednakże mimo to duch polski i poczucie polskie nigdzie nie poniosły szwanku. Przeciwnie właśnie w tym roku uwydatniła się jasno i dobitnie nasza solidarność narodowa, zdołaliśmy też w zaborze pruskim przeprowadzić ważne reformy n. p. „Straży“ i organizacyi wyborczej w kierunku demokratycznym.

# Baczność przed Ameryką!

Jak nas z kilku stron dochodzą wieści, pojawili się znowu pomiędzy nami agenci rozmaitych towarzystw amerykańskich, namawiający ludność naszą do wychodźtwa do Ameryki.

Snać nowa ustawa o wywłaszczeniu wzbudziła w niektórych kołach amerykańskich nadzieje, że obecnie ruch wychodźczy wzmoże się w naszej dzielnicy, pragną zatem ten ruch skierować w okolice zamorskie, wedle nich szczególniej podatne dla wychodźcy naszego.

Nasze stanowisko w tej sprawie może być jedynie i musi być odmowne.

Nie sądzimy bowiem, żeby rząd — już dla samego braku pieniędzy — mógł wszcząć akcyę wywłaszczycielską na większą skalę. Sądzimy raczej, że wywłaszczenie odbywać się będzie sporadycznie, powolnie. Zatem każdy, którego wywłaszczenie dotknie bądź to bezpośrednio, bądź pośrednio, znajdzie przy dobrej woli dość środków i sposobów, by się w obrębie dzielnicy naszej mógł utrzymać. Gdzieby to było niemożliwe, raczej osiadać winien na roli w sąsiednich prowincyach, mamy tu na myśli głównie graniczące z Księstwem okolice Śląska, aniżeli kierować swe kroki w dalekie i nieznane kraje zamorskie.

Nawet wychodźtwo skierowane na zachód Niemiec nie jest dla nas tak niebezpieczne, jak emigracya zamorska. Wychodźca, udający się do Westfalii, zawsze pozostaje w bliskim stosunku z krajem ojczystym, znajduje tam liczne zastępy rodaków zorganizowanych w związkach i towarzystwach, a nawet głos, który oddaje przy wyborach bądź parlamentarnych i sejmowych, bądź gminnych i kościelnych, może mieć znaczenie dla sprawy naszej. Inaczej w Ameryce. Tam przepada wychodźca zupełnie dla kraju bez żadnego pożytku dla społeczeństwa, które go wydało. Rzadki to wypadek, aby amerykański wychodźca wrócił w strony rodzinne. Przeważnie staje się on Amerykaninem, dzieci zaś jego, a najdalej wnuki zarzucają z uczuciem polskiem i język ojczysty i tylko nazwisko — częstokroć do niepoznania zdefigurowane — świadczy o polskiem pochodzeniu jego piastuna. Takich ofiar ani w przybliżeniu nie pochłania Westfalia. Powrót nadreńskich wychodźców w ojczyste strony jest prawie że regułą, a pieniądze, zdobyte na obczyźnie, niejednemu z naszych dopomogły, a nawet dostarczyły jedynej możności, osiedlenia się na ziemi ojców i zakupienia gospodarstwa.

Z tych więc względów i wielu innych, których wyliczanie za daleko by prowadziło, zawsze pierwszeństwo oddać należy wychodźtwu nadreńskiemu przed wychodźtwem zamorskiem, za którem krótko mówiąc, żadne absolutnie względy nie przemawiają.

Mimo to wiemy niestety, że rokrocznie spora ilość ludności wyjeżdża za morze, zwabiona tem przez agitacyę osób, które w dostarczaniu wychodźcy wybitny mają interes osobisty.

Sposoby, jakich się tacy agenci chwytają, po największej części są nieczyste. Zatem nie od rzeczy będzie powiedzieć na ten temat słów kilka.

Przybywa np. taki agent amerykański do wsi polskiej. Przywozi ze sobą fotografie owych zachwalanych okolic, plany gruntów tudzież rozliczne listy polecające, w liczbie tych polecenie od księdza Polaka, jakoteż listy pochwalne od kolonistów Polaków, którzy nie mogą się dość nachwalić gruntów przez siebie nabytych i zachęcają rodaków do wychodźtwa.

Wszystko to należy przyjmować z wielką ostrożnością. Znane są stosunki amerykańskie i nam tu w Europie. Wiemy np., że za marnych kilka dolarów można sobie kupić świadka, który każdą żądaną przysięgę złoży nawet przed sądem, chociaż o sprawie, o jaką chodzi, najmniejszego nie ma wyobrażenia. Dlaczegożby nie można kupić polecenia, skoro się świadków kupuje? Przychodzi temu w pomoc także bezprzykładna sprzedajność urzędników amerykańskich, którzy pod tym względem przesadzają nawet czynownictwo

rosyjskie i polujących na bakczysz funkcyonaryuszów tureckich.

A owe listy księdza polskiego i wdzięcznych kolonistów? I wobec tych ostrożność wielka jest na miejscu.

Przykro o tem mówić, lecz powiedzieć trzeba, że w szeregach duchowieństwa polskiego w Ameryce znachodzą się osobniki, do których nie można mieć tego bezwzględnego zaufania, jakiem otaczamy czcigodne duchowieństwo nasze. Nierzadko zdarza się, że ksiądz taki — są to wyjątki, lecz są — z bardzo egoistycznych pobudek popiera akcyę rozmaitych agentów, gdyż liczy na powiększenie swej parafii i idące z tem w parze pomnożenie swych dochodów... Co zaś do listów kolonistów, znany jest nam wypadek taki:

Pewien agent sprowadził do pewnej kolonii amerykańskiej szereg rodzin polskich z Europy i sprzedał im pewną ilość działek. Nie długo trwało, a koloniści owi, przekonawszy się, że zrobili interes jaknajgorszy, zaczęli przeklinać owego agenta i grozić mu, że ogłoszą jego niecne praktyki w gazetach. Agent, nie w ciemię bity, robi im taką propozycyę. Powiada im: kupiliście grunta, zapłaciliście za nie, ja pieniądze oddałem kompanii, więc już wam pieniędzy zwrócić nie mogę. Ponieważ jednak chcę wam dopomódz, więc gotów jestem wasze grunta sprzedać innym kolonistom, których mam pod ręką. W ten sposób nie tylko pozbędziecie się waszych działek, lecz nadto zarobicie na nich. W tym celu jednak musicie mi napisać listy, w których wasze parcele chwalić będziecie, inaczej kupca nie dostanę. Naiwni koloniści zastosowali się do życzenia agenta i listy pochwalne napisali. Ten zaś schował je do portfelu i używa ich do dalszej reklamy, oczywiście nie myśląc wcale o uwolnieniu niefortunnych posiadaczy od gruntów im sprzedanych. W ten sposób ubił za jednem uderzeniem dwie muchy: zyskał materyał agitacyjny celem dalszego rozprzedawania gruntów złych i nic nie donoszących i równocześnie zamknął usta owym niezadowolonym, gdyż ma w rękach najwymowniejsze dowody ich płomiennego zadowolenia z zakupionych bezwartościowych gruntów.

Zdarzenie to ilustruje wybornie nie tylko przysłowie, które opiewa: kto innym dołki kopie, sam w nie wpada, lecz równocześnie uczy nas, jak ostrożnym trzeba być wobec wszelkich dowodów i poleceń przedkładanych przez zamorskich agentów kolonizacyjnych.

Sądzimy, że na tem zakończyć możemy nasz artykuł. Celem jego jest zaostrzenie nieufności naszego ludu do wszelkiego rodzaju agentów zamorskich. Nie ulega najmniejszej wątpliwości, że w Ameryce są grunta i dobre i zapewniające nie tylko byt, lecz dające nawet możność zrobienia majątku, lecz te grunta są drogie, wymagają więc kolonisty miennego. Kto zaś posiada pieniądz odpowiedni i w ojczystym kraju znajdzie przyzwoite utrzymanie.

Zostańmy na ziemi ojców naszych, a Amerykę zostawmy Amerykanom!

## Listy od przyjaciół.

**Poznań**, 3. 1. 1909.

Godna czytania „Praco!“

Oto zaczął się Rok Nowy i dla tego w najwdzięczniejszy sposób, na jaki się zdomódz mogę, zasyłam ci, szanowna Redakcyo, życzenia jak największej pomyślności i rozkwitu w tym Nowym Roku. Oto już minęły spełna dwa lata, jak cię, szanowna „Praco“, czytuję, i zawsze z utęsknieniem ciebie oczekuję, abym po całotygodniowej, pełnej znoju i trudu pracy, mógł cię, jako plon swej pracy, czytać. Ale nie dość jest cię, droga „Praco“, przeczytać, a potem wrzucić w kosz, lub dać dzieciom do zniszczenia (to nie chluba), ale w największem poszanowaniu cię zachować, jako upominek dla przyszłych pokoleń. Dla mnie nie wystarczy mieć całe biblioteki książek i nikomu ich nie użyczyć, aby je czytał. Więc dla tego może w każdym czasie za poświadczeniem szanownej „Pracy“ każda czytelnia ludowa dwa pełne nieoprawne roczniki 1907—1908 odemnie darmo otrzymać i choć bym nawet koszta pocztowe ponosił, to jednak bym wolał, aby cię szanowna „Praco“ gdzie dalej rozszerzyć, abyś jako prawdziwe pismo polskie czytywaną przez wielu była. A więc iść naprzód i świecić, bo taką rycinę przedstawia „Praca“ z roku 1908. Pozdrawiam wszystkich mile i serdecznie, którzy „Pracę“ w tak dzielny sposób wykonują.

Z największem uszanowaniem

*Antoni Kędziora,*
Fryderykowska ul. 12.

*Od Redakcyi.* Dzielnemu przyjacielowi „Pracy“ dziękujemy serdecznie za powyższe cenne dla nas słowa uznania i przywiązania. List ten, jak też kilkadziesiąt innych podobnych, za które na tem miejscu serdecznie dziękujemy, będzie dla nas bodźcem do dalszej usilnej pracy na niwie oświatowej. Snać nie darmo się trudzimy, skoro wysiłki nasze tak gorące wywołują echa w gronie szanownych czytelników naszych.

Jeszcze raz dziękujemy za wszelkie oznaki życzliwości i życzymy szczęśliwego Nowego Roku przyjaciołom naszym.

* * *

### W sprawie posła z ludu

otrzymujemy następującą koresponcyę z kół robotniczych:

Cała prasa i ogół polski pod zaborem pruskim zajmuje się żywo aspiracyą kół robotniczych o posła robotnika. Prasa stanęła na ogół po stronie słusznych dążeń szerokich warstw ludu pracującego. Że zaś niektóre gazety dążeń tych nie popierają, to chyba grzeszą brakiem sympatyi względem ludu.

Najwyraźniej na stanowisku słusznych żądań ludu stanęły gazety pp. Brejskich, i co z uznaniem podkreślić trzeba także „Praca“, czytywana we wszystkich sferach społeczeństwa. „Wielkopolanin“ twierdzi, iż poseł robotnik pożądany, ale nie konieczny. Nam jest poseł-robotnik w Kole polskiem pożądany, jako przedstawiciel polskich robotników i jedności narodowej — a konieczny ze względów praktycznych.

Dawniej, gdy jedyny czynnik obrony narodowej stanowiła szlachta i inteligencya, podobne żądanie byłoby absurdem. Dziś jednakowoż stan robotniczy bierze czynny udział w sprawach narodu, a byt i samoistność tego narodu jest na równi od niego zależny. Ucisk wrogów godzi porówno w szlachtę i lud — stąd konsekwencya dążyć do wspólnej obrony przed forum przedstawicieli ludów rzeszy niemieckiej. Konieczność zaś wymaga wobec dzisiejszego rozwoju stosunków wpływu stanu robotniczego na ustawodawstwo krajowe i stąd wynikające dlań korzyści lub uszczerbek. Da się to lepiej osięgnąć przez własnego przedstawiciela, który w sprawach robotników obchodzących najlepiej powinien być obeznany. Jeżeli w stronnictwach niemieckich zasiadają robotnicy, to czemu odmawia się robotnikowi polskiemu kwalifikacyi? Właśnie między polskimi robotnikami trafiają się talenta, które by w innych warunkach zajęły zaszczytne stanowisko w społeczeństwie. Wybór posła z ludu wytrącił by kopię z rąk socyalistów, którzy robotnikom wmawiają, że w Kole polskiem sami pankowie zasiadają, którzy się nie troszczą o dole robotnika. Przez lud — dla ludu trzeba pracować nietylko w teoryi, ale i w praktyce. Należy się spodziewać, że robotnicy w kraju żądania te kategory-

cznie zaakcentują, a wybór posła z ludu stanie się faktem dokonanym.

Burgbrohl n. Renem, 28. 12. 08.

*Antoni Krzekotowski.*

*Od Redakcyi.* Powyższy głos przytaczamy mimo, że uchwała śremska wypadła niepomyślnie dla kandydatury robotniczej i tem samem kwestya ta na ten raz się usuwa niestety. Innym głosom w tej samej materyi nie dajemy miejsca, gdyż wszelka akcya w tej mierze zdaje się nam spóźnioną obecnie.

Śremska lista brzmi:

1. Franciszek Morawski. 2. Dr. Antoni Chłapowski. 3. ks. prob. Olszewski.

Lista średzka zaś:

1. ks. prał. Jażdżewski, 2. Adam Piotrowski, 3. poseł dr. Niegolewski.

Bardzo żałować należy, że kandydat robotniczy nie stoi na obu listach, choćby na drugiem i trzeciem miejscu, miałby przez to większe szanse. Jak obecnie sprawa stoi rzecz rozstrzygnie się prawdopodobnie na korzyść jednego z kandydatów na pierwszem miejscu figurujących.

* * *

## W sprawie odezw p. Grabli-Mściszewskiego

otrzymujemy, co następuje:

Szanownej Redakcyi przesyłam serdeczne dzięki za piękny numer gwiazdkowy i kalendarz oraz szczere życzenia Nowego Roku. Już to przyznać trzeba, że mamy teraz z „Pracy“ wielkie dobrodziejstwo, suty pokarm duchowy i miłą rozrywkę. Oby Wam całe setki nowych abonentów przybyło. Z mej zachęty będziecie mieli dwóch. Należy Wam się uznanie za znakomitą odprawę temu szumnemu „Jozuemu“ z pod Berlina, który mając za wiele pieniędzy bawi się w takie komedyjki i szopki, rozsyłając tysiące odezw, wyrywając się, jak Filip z Konopi. A niechże nas Pan Bóg broni od takiego posła. I my mu dajemy taką odpowiedź na jego plakaty: Od powietrza, ognia, wojny i takich fałszywych, bzikowatych kandydatów na posła, zachowaj nas Panie!

Sługa powolny

*Dąbek.*

---

*Życie bez celu i bez sił, a z żądzą wrzącą w piersiach, jest piekłem już tej strony grobu.* *Z. Krasiński.*

* * *

*Wyrządzać sprawiedliwość jest miłosierdziem króla, rozdzielać miłosierdzie jest sprawiedliwością królowej.*

*Królowa Marja Leszczyńska.*

* * *

*Wielekroć w życiu przechodziłam nad przepaścią, modlitwa matki chroniła mnie od złego.*

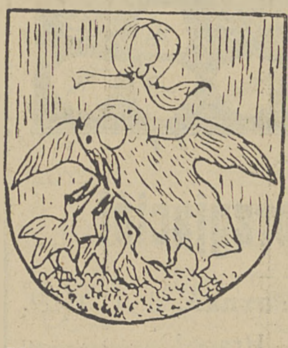
*Narcyza Żmichowska.*

# Z ojczystych stron.

## Pałuki i miasto Szubin.

Z poniżej podanych źródeł*) zebrał i opracował

**Józef Formanowicz.**



**Herb miasta Szubina.**

Nazwa „Pałuki“ (terra Palucacensis) pojawia się w dyplomatach wielkopolskich prawie równocześnie z imieniem Pałuka i przydomkiem trzech braci Pałukami zwanych. Pałuki były pewnie częścią kasztelanii gnieźnieńskiej, bo dawne ich czoło, Kcynia, nigdy nie miało kasztelana ani grodu.

Jako wskazówkę południowej granicy Pałuk uważać można rzeczkę Wełnę aż do jeziora rogowskiego, a dalej linię wiodącą na południe Gąsawy pomiędzy Szczepankowem a Krotoszynem do Noteci na północ od Pakości. Na zachód tworzyła granicę Pałuk dyecezya gnieźnieńska, na północ zaś Noteć.

Nazwę „Pałuki“ w zestawieniu z imieniem i przydomkiem Pałuka wzięła prawdopodobnie ziemia od posiadającego ją rodu, a początek tego rodu sięga czasów przedhistorycznych. Główne i najstarsze gniazda jego były Łekno (średniowieczna stolica Pałuk „Łukno“) i Panigródz; potem spotykamy Pałuków na Gołańczy, Domaborzu, Kozielsku, Czeszewie, Grylewie, Trlągu, Wąsoszu, Szubinie, Słupach i innych w tej okolicy siedzibach szlacheckich. To rozrodzenie się Pałuków, których członkowie w XIII. i w pierwszej połowie XIV. wieku często jeszcze siedzieli obok siebie, przemawia za tem, że oni dzierżyli w znacznej części, jeżeli nie cały kraj między Wełną a Notecią, nazwany Pałukami. Ród Pałuków ważną odegrał kulturalną i polityczną rolę w historyi a mianowicie w walkach Łokietka z Krzyżakami. Do największego znaczenia doszedł ród ten za czasów Kaźmierza Wielkiego. W drugiej połowie XIV. wieku, gdy punkt ciężkości polityki państwowej przesunął się z Wielkopolski do Małopolski, Pałuki, dążąc do karyery politycznej, nabyli dobra w Małopolsce a przekształciwszy równocześnie swój herb (siekierkę) na godło małopolskich Starzów (topór) weszli do tego rodu. Tym sposobem osiągnęli istotnie najwyższe stanowisko w państwie (Sędziwój z Szubina, starosta inowrocławski i gniewkowski, potem podkomorzy poznański, starosta wielkopolski, później starosta krakowski, starosta nakielski a w końcu wojewoda kaliski) ale zatracili cechy swej dawnej rodowej odrębności.

Podobieństwo późniejszych znaków pieczętnych tudzież zbliżenie się Pałuków do Toporczyków, zatarły tak dalece między tymi rodami różnice, że już za czasów Długosza nieznano odrębnego rodu Pałuków.

Po r.. 1408 nie spotkaliśmy się z przydomkiem szlacheckim „Pałuka“. Między 1389 a 1399 r. występuje Mikołaj Pałuka, mieszczanin poznański (Akta grodz. wielk. I.)

Za czasów Długosza (Lib. benef. II. 272) pisał się z Pałuk (de Paluky) Mikołaj, prebendarz w Dębnie pod Wojniczem. W owym czasie wrzała wojna domowa Nałęczów i Grzymałów, w której czynny brali udział Pałuczanie. Arnold z Wałdowa, podczas gdy Domarad, kasztelan poznański z ludem żnińskim obsaczał w ziemi nakielskiej zameczek jego na Włościborzu, najechał z Pałuczanami i innymi towarzyszami okolicę Żnina, gdzie zabrawszy stada i trzody, zapędził je do Gołańczy; potem posiłkował Nałęczów przy zdobywaniu Żnina, zajętego przez Grzymałów, którym arcybiskup Bodzęta był odstąpił wszystkie dziesięciny stołowe,

---

*) 1. Słownik geograficzny,
2) Kodeks dyplomatyczny Wielkopolski.
3) Wspomnienia Wielkopolski przez Edw. hr. Raczyńskiego, Tom II.
4) Rola rządów rycerskich w Polsce piastowskiej przez Dr. Władysława Semkowicza.
5) Liber beneficiorum Jana Łaskiego, arcybiskupa Gnieźnieńskiego.
6) *Kothe:* „Die Kunstdenkmäler der Provinz Posen“.
7) *Wuttke:* „Städtebuch des Landes Posen“.
8) *Dr. K. Rakowski:* „Dzieje W. Ks. Poznańskiego w zarysie 1815—1900“.

jakie pobierał „in terra Palucacensi“. (Pomn. Dz. Pol. II. 47, 8, 741). W roku 1462 zapuścili się Krzyżacy aż na Pałuki, gdzie spaliwszy 6 wsi, wzięli Macieja Słupskiego do niewoli, prawdopodobnie w Słupach nad Gąsawką, siedzibie słupskich Pałuków.

Ludność na Pałukach, pomimo ciągłego napływu Niemców przeważnie jeszcze polska i katolicka, trudni się uprawą roli, chowem bydła, połowem ryb, drobnym przemysłem i handlem. Ubiór ludu wiejskiego ulega modzie niemieckiej, której opierają się niektóre tylko okolice. Pod Obódnem np. mężczyźni noszą kamizele, wołoszki i płaszcze granatowe czerwonym opasane pasem; na głowie kapelusz czarną wstążką i kwiatem ozdobiony. Dziewki noszą sznurówki, kabat, fartuch wełniany, około głowy przępaskę koronkową w kwiaty i wstążki kolorowe ubraną; kobiety chodzą w czepkach. Przy zaręczynach, które lud zdawinami zowie, starszy drużba miewa mowę, upominając kawalera, że przystępuje do aktu religijnego, z którego sobie żartować ani zawodu pannie młodej robić nie wolno. Przed ślubem dwóch drużbów przebranych w suknie granatowe, mając w ręku pęk kwiatów z białemi wstążkami, zaprasza na tę uroczystość gości długą oracyą. W okolicy Smogulca przy „zmowinach“ strzelają drużbowie z pistoletów, jadąc zaś do ślubu i od ślubu śpiewają „Oj nasza“ i wywiewają chustkami.

Pałuki obfitują w jeziora i bagna, glebę zaś mają po większej części urodzajną.

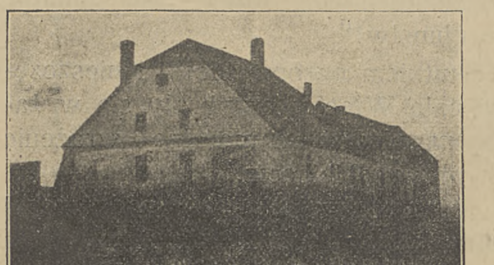
Miasto *Szubin*, położone w nizinie gąsawskiej, należy do starszych miast Księstwa, o początku jego mało jednak przechowało się wiadomości. W r. 1834 znaleziono w blizkości miasta 39 prastarych greckich monet, które prawdopodobnie zostały bite w greckiej kolonii w kraju barbarzyńców, nad Morzem Czarnem. Kupcy stamtąd, jadąc na wybrzeża Bałtyku w celu kupowania bursztynu, zakopali je tu może. Działo się to jednak jeszcze przed rozpoczęciem ery chrześcijańskiej. Nie można z tego wprawdzie wnioskować, aby na tem miejscu były już osady, pierwsze bowiem wiadomości o osadnikach tutejszych pochodzą dopiero z drugiej połowy 14-go stulecia. Jeden z najmożniejszych magnatów polskich, Sędziwój z Szubina, przybrał nazwisko swych włości.



**Wielkopolska epoki Piastowskiej.**
**Pałuki.**
Kodeks dypl. W. P.

Nazwa tej miejscowości ustaliła się dopiero w XVI. lub XVII. wieku. W dokumentach spotykamy Subyn, Subino, później Schubino i Szubino.

Z początku był Szubin wsią, ale w XIV. wieku uzyskali właściciele zezwolenie założenia miasta, które, podług ogólnie panującego zwyczaju, zaludnili niemieckimi kolonistami. Na stronie południowej miasta, w dolinie gąsawskiej, stał zamek dziedziców. Resztki murów i łuków tegoż zamku, które dziś jeszcze formę czworoboku w zarysie pokazują, jako i wiązanie cegły w murze oraz pozostałe oznaki sklepień beczkowych cechują czasy późno gotyckie. Według podania prowadzić ma od zamku, dziś ogólnie „Syberyą“ zwanego, ganek podziemny do kościoła parafialnego.



**Widok zamku w Szubinie od strony północno-zachodniej.**

Dziedzicami miasta byli w końcu XIV. wieku Łabiszyńscy, później Czarnkowscy, w których posiadaniu zostawało ono aż do połowy 17-go stulecia. Potem zmieniali się często właściciele; w r. 1645 był nim Krysztof Opaliński, w r. 1675 Adam Konarzewski, w r. 1717 Józef Złotnicki, a w r. 1727 księżna Teofila Wiśniowiecka z domu Leszczyńska. Później należał Szubin z wsiami: Pińsk, Folwark, Wielkie i Małe Samoklęski, Kowalewo, Wąsosz i Łachowo do Mycielskich. Stanisław hr. Mycielski starał się o upiększenie miasta przez zakładanie ogrodów i parków. Jemu głównie zawdzięcza swe istnienie tak zwany „Włoski ogród.“

Późniejsi dziedzice przeniósłszy się na swe włości w innej położone okolicy, przestali się po prostu troszczyć o dobra swe Szubińskie, które w znacznej wysokości były obciążone długami. Nadto skarb państwowy rościł sobie pretensye do podatków. Gdy tych nie zapłacono, wystawiono majątek na subhastę. Znalazł się sprytny Niemiec, który postanowił za tanie pieniądze nabyć dobra. Udał się przeto do wierzycieli, którzy już przeważnie dorobiwszy się majątku, w odległych mieszkali stronach, gospodarując na swojem, poskupywał ich pretensye za byle co, dając nieraz dziesiątą część waluty i stanął w terminie do licytacyi. Ponieważ większą część pretensyi miał w swojem ręku, stał się panem włości i tak dotychczas piękny ten szmat ziemi jest w posiadaniu niemieckiem.

(Dokończenie nastąpi.)

*Człowiek z rozumem a bez uczuć, jest już za życia zmarłym upiorem bez serca.* *Józef Kremer.*

* *

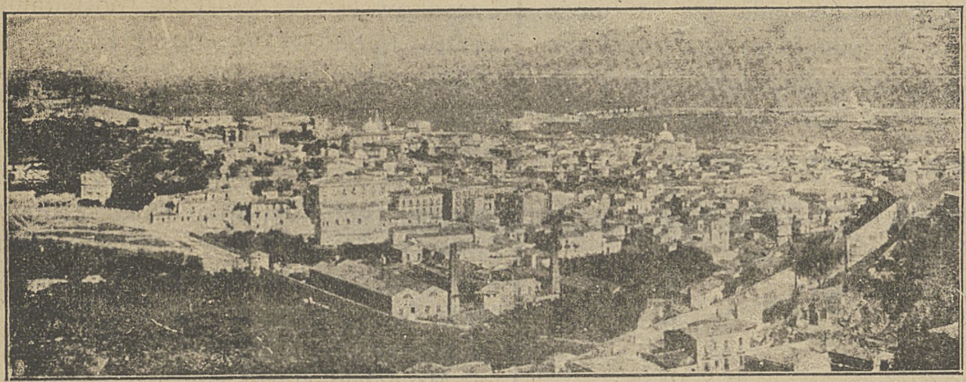
*Dobry i zły zarówno chodzą za bliźnimi;*
*Jeden, żeby ich żywił, drugi, by żył nimi.*
*Adam Mickiewicz.*

**Bądźmy ofiarni na cele oświaty!**

*Przy grach towarzyskich i zabawach, przy uroczystościach rodzinnych i publicznych, przy zapisach, zawsze i wszędzie pamiętajmy o przysporzeniu majątku*

**Tow. Czytelni Ludowych.**

# Straszna katastrofa we Włoszech.



**Miasto Messyna przed katastrofą, dziś w gruzy zamienione.**

Straszne trzęsienie ziemi we Włoszech stanowi główny przedmiot powszechnego zainteresowania i wielkiego współczucia. Klęska to ogromna, przewyższająca grozą i rozmiarami wszelkie dotychczasowe znane w dziejach katastrofy, wywołane niszczącą siłą żywiołów.

Starożytne miasto Messyna (patrz rycinę) na północno-zachodnim wybrzeżu Sycylii, liczące 150,000 mieszkańców, leży w gruzach.

Miasto to trzęsienie ziemi zniszczyło po raz pierwszy w 1783-cim roku prawie zupełnie; później je pięknie odbudowano.

Największe w prowincyi południowej Włoch, Kalabryi, miasto Reggio (czyt. Redżjo) zniszczone również doszczętnie. Z ludności 42 tysięcy ocalało ledwo 3 tysiące.

W niektórych wioskach wyginęło nieraz po 9 dziesiątych ludności.

Wiele miejscowości i osad zniknęło wprost z powierzchni ziemi. Zniszczone są także miejscowości Seminara, Baginaro, Palmi i inne.

Pomimo opisów, zapełniających od tygodnia przeszło łamy dzienników całego świata, trudno dzisiaj jeszcze wyrobić sobie dokładny obraz właściwych przyczyn, przebiegu i rozmiarów katastrofy. Nieznana jest nawet liczba ofiar, które pochłonął ten kataklizm żywiołowy. Najoględniejsze obliczenia podają ją jednak na 100,000, inne podnoszą ją na 200,000, a nawet na 250,000 osób.

Straszny obraz przebiegu trzęsienia ziemi, dają naoczni świadkowie. Wstrząśnieniu skorupy ziemskiej towarzyszyły potężne zjawiska atmosferyczne. Niebo chwilami wydawało się jak wielkie ognisko, a błyskawice strzelały bezustannie z chmur je pokrywających. Ziemia wydawała się wzburzoną w najgłębszem wnętrzu. Walące się domy, pożar wybuchający jednocześnie w licznych punktach, fale morskie, pochłaniające tysiące ofiar — wszystko to wywarło wśród ludności przekonanie, że nadszedł koniec świata. Z nielicznej liczby ocalonych ludzi wielu oszalało, inni utracili mowę.

Zdanie geologów, którzy zabrali głos w sprawie katastrofy, zgadza się w twierdzeniu, że trzęsienie należało skwalifikować jako tektoniczne, t. j. spowodowane usunięciem się pewnych pokładów ziemi, a nie wulkaniczne. Profesor dr. Gustaw Koch, z akademii rolniczej w Wiedniu, zauważył, że gdyby się miało do czynienia z prawdziwem trzęsieniem ziemi wulkanicznem, to musiałoby przyjść doniesienie o wzmożonej czynności Etny. Tymczasem nadeszły wiadomości aż o trzech wulkanach włoskich wprost przeciwnie brzmiące. Oto zarówno Etna, jak Wezuwiusz i Stromboli, wulkan tworzący drobną wysepkę na wybrzeżu Sycylii, po trzęsieniu ziemi wstrzymały zupełnie czynność swych kraterów.

Królestwo włoscy wyjechali zaraz do okolic dotkniętych nieszczęściem. Gdy na dworcu w Rzymie król wsiadał do pociągu, jeden z deputowanych nie mógł się powstrzymać od wypowiedzenia kilku słów pochlebstwa: „Oby obecność W. Królewskiej Mości podziałała na ludność nieszczęsną uspakajająco“ — tak mniej więcej mówił ów dworacko usposobiony przedstawiciel ludu. Król przerwał mu bardzo znamiennemi słowy: „Nie gadajże pan głupstw!“

Skutkiem ogromu klęski i nieszczęścia całe Włochy przybrały się w żałobę narodową, a moralne wrażenie jest przygnębiającem.

Składki sypią się nadzwyczaj obficie, zacząwszy od Ojca św. i króla włoskiego, którzy posłali znaczne sumy, cała ludność składa datki pieniężne z wielką ofiarnością.

* * *

Współczucie Polaków dla Włochów okazuje się w całej Polsce pod trzema zaborami. Między innemi wysłano zaraz po katastrofie z Warszawy, po porozumieniu się wszystkich redakcyi pism codziennych, do syndykatu prasy włoskiej następujący telegram w języku francuskim:

„Prosimy przyjąć i zakomunikować narodowi włoskiemu wyrazy głębokiego współczucia od prasy polskiej z powodu wstrząsającej katastrofy w Kalabryi i Sycylii.“

Najpoczytniejsze pismo warszawskie „Kuryer Warszawski“ pisze:

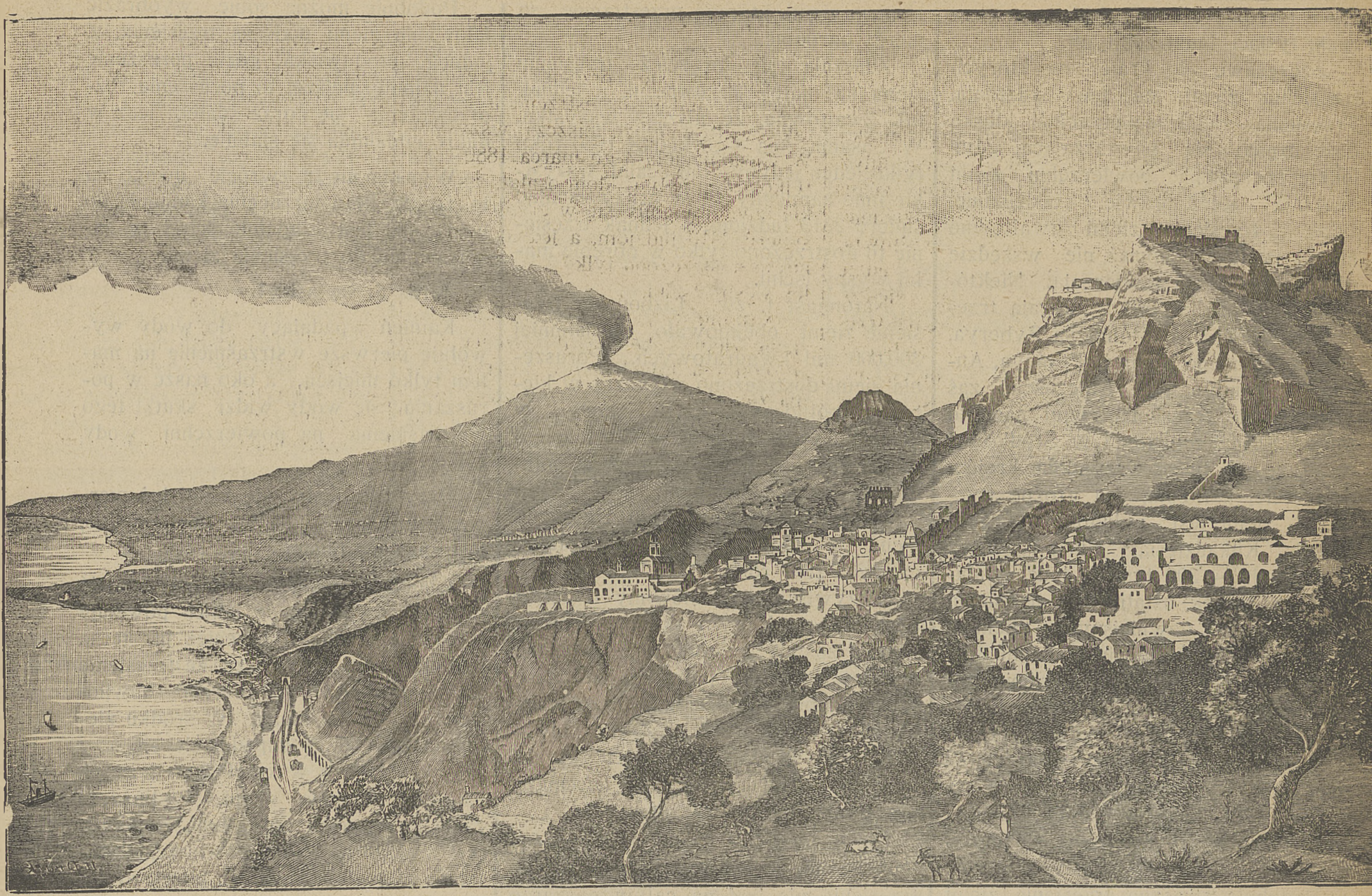
„Nadszedł dzień gniewu Bożego dla cudnej ziemi Michała Anioła i Danta. Za jakie winy ukarano tę krainę słońca, ojczyznę sztuki i poezyi, próżno byłoby pytać i próżno dociekać. Wiemy tylko, że stało się coś potworniejszego, niż wszystkie katastrofy ostatnich czasów, i cała problematyczność istnienia naszego staje przed nami w jakimś strasznym, przeraźliwie smutnym znaku zapytania.

„Kto wydał ten wyrok okrutny? I jak na imię tej potędze ...... która z zagadkowych głębin niesie nam śmierć i zagładę i po chwili zapada znów w swoich kryjówkach, groźna, milcząca, wiecznie przyczajona do nowego skoku. Czy to Opatrzność niezbadana, czy coś poza Opatrznością, jakaś Ananke okrutna?

„Ale poza współczuciem ogólnoludzkiem, po za łzą bezinteresowną, którą wyciska z oczu naszych każde nieszczęście, bez względu na to, kto jest ofiarą i jakie zamieszkuje strony, katastrofa włoska targnęła jeszcze innemi strunami w piersiach wszystkich cywilizowanych narodów. Przecież powiedział ktoś, że każdy z nas ma dwie ojczyzny: jedną swoją, najbliższą, a drugą — Włochy. Więc te 200,000 trupów, które leżą pod gruzami w Kalabryi i Sycylii, to krew tej drugiej ojczyzny, to krew tej ziemi, którą Francuz i Anglik, Polak i Niemiec miłuje niemal równie gorąco, jak kraj swój rodzinny.

„Tęsknotą wszystkich narodów jesteś ty, ziemio żałoby, i oto w tej chwili, gdy jeden z najcudniejszych twych krajów, „rozkosz słoneczna,“ „szafir Italii“, zamienił się w olbrzymią mogiłę i w straszne, dymiące rumowisko, my niemal tak nad tobą płaczemy, jakbyśmy nad klęską własnej ziemi płakali.

„A wśród łez całej ludzkości znajdziesz jedną, gorętszą może od innych, znajdziesz łzę Polaków. Wiesz, że płacz polski ma swój historyczny majestat cierpienia. Wiesz, że oczy nasze wyschły już prawie od łez, które-



**Wezuwiusz,**
wulkan koło Neapolu we Włoszech, wznosi się do wysokości 1282 metrów nad poziom morza. Straszny jego wybuch w roku 79-ym zasypał miasta Pompei, Herculanum i Stabiae. Obecnie wybucha Wezuwiusz bardzo często, ale mniej silnie. Wybuch w kwietniu 1906 r. poczynił w okolicy wielkie spustoszenia.

mi od stu lat opłakują Kalwaryę i Gehennę własnego narodu. A jeżeli mimo to stać nas jeszcze na świętą łez polskich daninę dla ciebie, to zrozumiesz chyba, że musisz nam być szczególnie droga, tak droga prawie, jak ziemia polska.

„Italio! Tyś w chwilach burzy słała nam swoich synów na pole męczeństwa. Krew Twoja mieszała się nieraz z krwią polską. A Twój Garibaldi błogosławił naszej miłości i słał orędzia do ludów Europy w obronie Polski. Więc dziś, gdy Tobie, druhu orężny, przyjacielu wierny, Tobie, na którym żadna łza polska nie cięży, a który krew swoją i łzy swoje niosłeś nam w ofierze, zapłakać przyszło na ruinach i mogiłach włoskich, miłość nasza idzie ku Tobie, klęka na ziemi zasłanej trupami, i łączy ból polski z bolem Italii.

„Bodaj na gruzach, które wspólnie opłakujemy, zakwitło nowe życie, życie silne i wielkie, życie Hellady i Romy! I bodaj z tej promiennej przyszłości, o której marzy bard włoski, natchniony pieśniarz Annunzio, wytrysło światło, które rozświeci mroki barbarzyństwa współczesnego i ludom Europy wskaże nowe drogi miłości, braterstwa i sprawiedliwości!“

* * *

I nasze Księstwo okazało swe współczucie dla nieszczęśliwych, dotkniętych trzęsieniem ziemi w Sycylii i Kalabryi. Prócz inicyatywy do zbierania składek, zapoczątkowanej przez radzcę p. dra F. Chłapowskiego, zawiązał się w mieście naszem Komitet, na którego czele stanął Najprzewielebniejszy ksiądz biskup Likowski. Komitet ogłosił „Odezwę do serc miłosiernych“ celem przyjścia w pomoc narodowi włoskiemu przez zarządzenie środków ratunkowych.

„Czy my Polacy — czytamy w Odezwie — tylko łzami okazać mamy współczucie tym biednym i tak bardzo nieszczęśliwym? A chodzi tutaj przecież o pomoc natychmiastową. Niechaj Związek Towarzystw dobroczynnych sprawę tę weźmie w swe ręce, niechaj ludzie dobrej woli i panie nasze udadzą się choć w niewielkiej liczbie na krucyatę pokojową na wybrzeża Kalabryi. Dziesięć lub dwadzieścia dusz dzielnych i ożywionych gorącą miłością bliźniego ileżby dobrego zdziałać tam mogło. Wypiszmy imię nasze na kartach czynnego miłosierdzia i nie tylko łzą, ale i czynem, okażmy pięknej, lecz nieszczęśliwej Italii współczucie nasze. Kilka osób już się zgłosiło do ks. biskupa Likowskiego z gotowością pospieszenia z pomocą do krainy nieszczęścia. Zgłoszenia dalsze prosimy zwracać do *„Związku Towarzystw dobroczynnych“ w Poznaniu, ulica Ludwiki 7.“*

## Trzęsienie ziemi.

Po strasznem trzęsieniu ziemi, jakie przed kilku dniami nawiedziło południowe Włochy, każdy chętnie sobie poczyta o trzęsieniu ziemi, ażeby lepiej zrozumieć całą grozę nieszczęścia. Bo też nie ma pewnie straszniejszej klęski nad trzęsienie ziemi. Kilka

chwil tylko — a cała okolica w gruzach, tysiące ludzi zabitych.

Szczęśliwe te kraje, w których trzęsienia ziemi się nie zdarzają. Trzęsienia ziemi są przecież klęską dość często się powtarzającą, gdyż lekkie poruszenia powierzchni ziemi zdarzają się prawie codziennie. Lecz i trzęsienia ziemi gwałtowne nie są rzadkie, chociaż nie wszędzie równo często się powtarzają. Niektóre okolice rzadko tylko ulegają trzęsieniom ziemi n. p. Północna Syberya, Rosya, Północne Niemcy, Francya, Anglia i Skandynawia. Najczęściej zaś zdarzają się trzęsienia ziemi naokoło Morza Śródziemnego i w Środkowej Ameryce. A tu ze wszystkich krajów najczęściej narażoną na groźne trzęsienia ziemi jest południowa część Włoch. Kilkadziesiąt miast i wiosek w gruzach — 200 tysięcy ludzi zabitych, to skutek ostatniego trzęsienia ziemi. A w dawniejszych wiekach działo się w przybliżeniu podobnie.

W roku 536 w Syryi trzęsienie ziemi zadało śmierć 120 tysiącom ludzi; w roku 1693 podczas trzęsienia ziemi w Sycylii było 60 tysięcy zabitych, w roku 1755 w Hiszpanii 60 tysięcy, a w roku 1783 — w tej samej okolicy, którą teraźniejsze trzęsienie ziemi nawiedziło — było 20 tysięcy zabitych.

Podobnie straszne trzęsienia ziemi jak naokoło Morza Śródziemnego, zdarzały się też w Śródkowej Ameryce i w północnej części Ameryki Południowej, n. p. miasto Lima od roku 1586 zostało wskutek trzęsienia ziemi jedenaście razy prawie doszczętnie zniszczone.

Jak trzęsienie ziemi sobie wyobrazić?

Zwykle zdaje się nam, że ziemia nie ulega żadnym poruszeniom, i dla tego nazywamy ją lądem stałym.

A jednak przy różnych okolicznościach mamy okazyą przekonać się, że ziemia łatwo ulega poruszeniom.

Już wóz szybko przejeżdżający na twardym bruku wywołuje dostrzegalne poruszenia ziemi, pociąg nadjeżdżający wzrusza ją do tyla, że o kilkanaście nawet metrów od szyn odczuwa się bardzo dokładnie poruszenie się ziemi.

W pewnej kopalni zarwała się na wielkiej przestrzeni ziemia podminowana — a ziemia wskutek tego uderzenia drgnęła na milę w około.

Potężne eksplozye — mianowicie jeżeli następują w ziemi — ziemię poruszają na znaczną odległość.

Otóż mały obraz, jak łatwo ziemia się porusza.

Lecz to wszystko niczem nie jest w porównaniu z prawdziwem trzęsieniem ziemi, którego przestrzenie są nieraz ogromne.

Zdarzają się przecież trzęsienia ziemi na małej przestrzeni, a jednak tak gwałtowne, że niszczą wszystko. W Casamicciola 4-go marca 1880 roku tylko jeden jedyny dom ocalał, wszystkie inne zamieniły się w gruzy zadając śmierć 2313 ludziom, a jednak trzęsienie to dostrzeżono tylko w obrębie małej wyspy Ischii.

Natomiast t. zw. Lizbońskie trzęsienie ziemi obejmowało co najmniej 300,000 mil kwadratowych. Poruszenia ziemi dostrzeżono wówczas w kierunku północnym aż w Szkocyi, w kierunku wschodnim aż w Czechach, a w kierunku południowym aż w południowej części Marokka.

Jeszcze większem było trzęsienie ziemi w Indyach wschodnich 12-go czerwca 1897 roku.

Oczywiście gdy mówimy o całym obszarze, na którym skutki trzęsienia ziemi zostały zauważone, musimy przedewszystkiem pamiętać, że poruszenie ziemi mogło sięgać jeszcze dalej, chociaż nikt z ludzi tego nie zauważył. Tak przynajmniej wielka część trzęsień ziemi w obrębie oceanów przechodzi niespostrzeżoną.

Co więcej! Nie trzeba zapominać o tem, że poruszenie się ziemi wskutek trzęsienia nie jest na całym obszarze równo silne. Rozchodzi się ono raczej i coraz to bardziej słabnie.

Spróbujmy wytworzyć sobie choć obraz rozprzestrzeniania się trzęsienia ziemi!

Głos w powietrzu falując — przebywa swą przestrzeń. Im więcej się oddala — tem bardziej słabnie. Ruch głosu nie jest dostrzegalny dla oka naszego, lecz dla ucha, które częstokroć i powrót głosu uczuwa.

Nazywamy to echem.

Inny i lepszy obraz — to kamień rzucony do wody.

Stań w dzień cichy nad stawem. Powierzchnia wody spokojna, bez ruchu. Weź kamień, rzuć go nad staw w górę tak, że z wielkiej wysokości spadnie we wodę. Kamień od razu i gwałtownie zamąca spokój wody. Wprawdzie główne poruszenie nastąpiło tam, gdzie kamień wpadł we wodę. Tam nawet część wody jakby podskoczyła w górę. Lecz w tej samej chwili tworzą się fale naokoło miejsca, w którem kamień wpadł we wodę, i coraz dalej się rozprzestrzeniają naokoło, a jeżeli stan nie jest zbyt wielki, to po pewnym czasie dostrzeże się, że fale dochodzą do brzegów, albo nawet się o brzegi odbijają i do środka wracają. — Jednak każda następna fala jest mniejszą od poprzedniej.

Podobnie można sobie wyobrazić falowanie ziemi podczas trzęsienia. Z jednego środowiska, gdzie poruszenie jest najpotężniejsze, to poruszenie rozprzestrzenia się coraz dalej, lecz w miarę oddalania się słabnie.

Wypada mi tu zwrócić uwagę na to, że przykład wrzucenia kamienia do wody, nie jest zupełnie ścisły w zastosowaniu do trzęsienia ziemi.

Zaraz to wyjaśnię!

Kamień wpadający do wody wywołuje pierwsze wstrząśnienie na małem tylko miejscu, a oko nasze w poruszaniu się wody widzi skutki tego wstrząśnienia na powierzchni wody tylko.

Przy trzęsieniu się ziemi już pierwsze poruszenie, dla nas dostrzegalne, jest znacznie innem.

Chociaż później dopiero mówić mam o powodach, z jakich powstaje trzęsienie ziemi, to przecież już teraz ogólnie zaznaczyć muszę, że trzęsienie ziemi pochodzi z zaburzeń chwilowych w środku ziemi. W środku ziemi nastało jakieś zapadnięcie się, czy też eksplozya, i wskutek tego porusza się powierzchnia ziemi. W każdym razie środowisko poruszenia ziemi nie jest zwykle na samej powierzchni ziemi, lecz w głębi ziemi, to bliżej, to dalej od jej powierzchni. — I w tem zasadnicza różnica ruchu przy trzęsieniu się ziemi, a przy poruszeniu się wody wskutek wrzucenia kamienia. Kamień rzucony do wody poruszył jeden punkt, a ztąd rozchodziły się naokoło fale coraz szerzej.

Ziemia w głębi wzruszona, choćby tylko na małej przestrzeni była poruszona, zadrży na swej przestrzeni już na wielkim obszarze od razu, bo w miarę jak poruszenie się ziemi zbliża się do jej powierzchni, rozszerza się ono coraz bardziej, tak że na powierzchni ziemi poruszenie ukaże się już we wielkiem kole mniej więcej regularnem, a ztąd rozchodzić się będą na wszystkie strony dalsze poruszenia koliste.

Owszem poruszenia ziemi nie we wszystkie strony ani równo szybko, ani równo mocno rozchodzić się mogą. Ziemia bowiem nie wszędzie równo twarda, skalista szybciej i silniej, miękka zaś wolniej i słabiej poruszenie przesyła do warstw dalszych.

Przy niektórych trzęsieniach ziemi zauważono jednak, że ze środka gdzie najsilniejsze nastąpiło wstrząśnienie rozchodzą się poruszenia tylko w jednym głównie kierunku, w drugim zaś są daleko słabsze! W takim razie widoczną jest rzeczą, że wstrząśnienie wewnątrz ziemi nie uderzyło o skorupę

ziemi prostopadle do jej powierzchni, lecz pochyło.

Wyjaśni to próba z kamieniem wrzuconym do spokojnego stawu. By tego doświadczyć, nie rzucaj kamienia tak, aby prostopadle spadł do wody, lecz pochyło, ukośnie. Naprzykład oddal się o kilka kroków od stawu i wprost z ręki wrzuć kamień do wody. Kamień w takim razie uderzając we wodę poruszy najwięcej wodę przed sobą, i tu większe i silniejsze powstaną fale; po za nim, bliżej ciebie poruszenie będzie słabsze; zupełnie tak samo jak w powyższym przypadku trzęsienia ziemi.

W miejscach, w których poruszenie wewnętrzne przychodzi mniej więcej prostopadle do powierzchni ziemi, wszystko podskakuje w górę! W roku 1783 w Kalabryi kamienie wyiatywały w górę, trzęsienie ziemi podnosiło ludzi i domy w górę.

Ażeby to łatwiej zrozumieć zrób taką próbę. — W środku na płytę stołową połóż drobny przedmiot n. p. pięciofenygówkę. Weź młotek, i uderz nim w stół z dołu w tem miejscu mniej więcej, nad którem owa pięciofenygówka leży. Choć uderzenie nie będzie bardzo silne, choć stół się od ziemi nie poruszy, pięciofenygówka jednak podskoczy w górę.

Gdzie zaś na powierzchni ziemi poruszenie rozprzestrzenia się jako fala, tam wszystko się pochyla: ludzie, domy, drzewa obalają się. Mury stojące równolegle do falowania ziemi upadają, mury zaś stojące prostopadle — rozpękują się przynajmniej. W latach 1811 i 1813 w Stanach Zjednoczonych na zachowaniu się drzew można było dokładnie widzieć posuwanie się fali. Gdy fala ziemi zbliżała się do lasu, drzewa przechyliły się naprzód, potem gdy fala je minęła, przechyliły się znowu w drugą stronę. To samo, co się spostrzega przy przesuwaniu się fal morskich.

Jak długo trwają trzęsienia ziemi? Żeby na to dać jasną odpowiedź, trzeba uprzytomnić sobie, że czas trzęsienia ziemi można mierzyć w dwojaki sposób. Można się pytać albo o długość trzęsienia na całym obszarze, gdzie trzęsienie zauważono, albo też o to, jak długo trwało trzęsienie na jednem miejscu.

Jedno poruszenie trwa zwykle tylko kilka sekund. Lecz i ta chwilka jedna wystarcza, by zniszczyć wszystko, tem więcej, że trzęsienie ziemi nie kończy się zazwyczaj jednem poruszeniem. Następują dalsze uderzenia. Miasto Carracas zostało zburzone trzema poruszeniami się ziemi: każde z nich trwało po 3 do 4 sekundy. Lizbońskie trzęsienie ziemi składało się również z trzech poruszeń; pierwsze trwało 5 sekund, po kilku minutach następowały dalsze poruszenia. Wszystkie te poruszenia ziemi bezpośrednio po sobie następujące zalicza się jako jedną całość, jako jedno trzęsienie ziemi. A długość jego różna. Całe trzęsienie ziemi na Martynice w roku 1839 trwało tylko pół minuty, po tym czasie więc na lata całe nie zauważono dalszego poruszania się ziemi. Trzęsienie ziemi na Jamaice trwało 3 minuty, Lizbońskie 5 minut. — Lecz częściej zdarza się, że ziemia raz wzruszona uspokaja się dopiero po dłuższym czasie. Tak w Kanadzie w roku 1663 powtarzały się poruszenia ziemi codziennie po kilka razy przez 6 miesięcy, a w Kalabryi po trzęsieniu ziemi w roku 1783 nastał spokój dopiero po czterech latach!

*Wr.*

(Dokończenie nastąpi).

## Z powodu składki na nieszczęśliwych Włochów.

Pewien czytelnik z Gniezna przysłał nam wycinek z „Lecha“ z prośbą, byśmy w sprawie tam poruszonej zajęli stanowisko. Czynimy to chętnie. Ów wycinek brzmi:

„Pan Stanisław Turno przesłał „Dz. Pozn.“ 1000 mk. na ofiary katastrofy



## Bez dachu.

*Zimno tak. Śnieg na ulicy prószy*
*i wichr o szyby głucho dzwoni,*
*jakieś widziadła legną w duszy,*
*myśl przeminioną wiosnę goni.*

*Na polu zamieć i szaruga,*
*smutny na tafle patrzę szklanne,*
*płonąca lampa światłem mruga*
*a wichry wieją nieustanne.*

*W oddali jaśnieją latarnie*
*i lśnią od świateł okna gmachu,*
*do zimnych ścian tych ktoś się garnie*
*zmarzły... to jeden z tych bez dachu.*

*Tadeusz Warchałowski.*

we Włoszech, celem wręczenia je Ojcu św.

„Postępowanie p. Turny jako szambelana papieskiego jest do pewnego stopnia zrozumiałe, lecz czy nie byłoby patryotyczniej ofiarować sumę tę na cierpiących głód i zimno rodaków? Naród włoski ma swoje samodzielne państwo, ono więc ma obowiązek dbać o swoich obywateli.“

Co do nas pochwalamy dobry uczynek p. szambelana Turny najzupełniej. Argument, że naród włoski ma swoje państwo, nie jest argumentem przeciwko dobroczynności postronnej. „Lech“ stanął w tym wypadku na stanowisku skrajnie egoistyczno - narodowem. Chrześcianina jednak obowiązują obok zasad narodowych także zasady ludzkie i chrześciańskie. Te zaś każą czynić dobrze człowiekowi, jako bliźniemu bez względu, czy on do tej lub innej narodowości należy. Nie sądzimy, jakoby p. Turno przesłał swój datek wspaniałomyślny ze względu na swój tytuł szambelański. Sądzimy raczej, że uczynił to, jako człowiek i chrześcianin, współczujący ze straszną dolą ofiar okropnego nieszczęścia. Takie akty charytatywne, będące wynikiem głosu sumienia, nie powinny być poddawane krytyce. Krytyka taka działa demoralizująco na czytelników bezkrytycznych. Fakt, że do takich aktów miesza się gazeta, uważamy za objaw niezdrowy i smutny. Pomijając wszystko inne, już sama przyzwoitość wymaga pozwolić każdemu rozporządzać swą własnością wedle upodobania. Zresztą z narodem włoskim łączą nas Polaków oprócz wspólnej religii starodawne węzły różnorakich stosunków, głównie kulturalno-cywilizacyjnych, tudzież żywe sympatye wzajemne świeższej daty, a nawet względy wdzięczności za zrozumienie, jakie nasze położenie we Włoszech znajduje, za pomoc pieniężną obficie nam udzieloną za czasów nieszczęsnej sprawy dzieci wrzesińskich.

Sądzimy, że tego wszystkiego nie uprzytomnił sobie „Lech“, pisząc ową niefortunną wzmiankę.

Naszem zdaniem tylko ten człowiek ma prawo liczyć na pomoc drugiego, który sam gotów jest bliźniemu spieszyć z pomocą. Kto innym nie potrafi serca okazać i sam niechaj nie spodziewa się znikąd sympatyi. Samoluba nikt kochać nie może. Naród zaś, ten zbiorowy człowiek, powinien pamiętać o tych elementarnych prawdach, chociażby tylko w dobrze zrozumianym własnym narodowym interesie.

Dr. Kazimierz Krotoski.

# Przyczyny upadku Polski.

4) (Ciąg dalszy.)

Polska, powie mi ktoś, nie miała obronnych granic. Ale ta Polska miała daleko silniejsze przedmurze w piersiach walecznych swych hufców, które daleko groźniejszych wrogów od granic swych odpierały. Te skrzydlate znaki pancerne kilka wieków wiernie strzegły granic rzeczypospolitej przed potęgą Osmańską. One starły siłę turecką, przed którą cała Europa ówczesna drżała. Te hufce osadzały carów na moskiewskim tronie, a zgniotły niemiecką potęgę pod Psiempolem i Grunwaldem. Nie więc bezbronność kraju jest przyczyną upadku. I ta i poprzednie okoliczności przyczyniły się bez wątpienia do upadku kraju, lecz nie były jego praprzyczyną. Ta leży głębiej, ta leży w nas samych a nią jest niedbalstwo, ta wygoda gnuśna, to oglądanie się wieczne na drugiego a przedewszystkiem zaś duch niesforności i anarchii. Ten duch anarchii sprawia, iż taki Radziejowski, okrzyczany zdrajcą przez senat i szlachtę, może cały rok urągać królewskiemu majestatowi, iż tenże Radziejowski, zdrajca, intrygant, warchoł i awanturnik, był popularnym, jak i Jerzy Lubomirski, dla tego tylko, że się porwał na króla, przedstawiciela władzy zwierzchniczej. Kiedy szalony Jerzy III., król angielski, który krajowi przyniósł największe szkody, wyzdrowiał ze swej choroby, naród cały święci to wyzdrowienie iluminacyą, u nas Jan Kazimierz, który kraj oswobodził od Kozaków i Szwedów, składa koronę, a bohater wiedeński umierając woła: „Nie ma dobrego człowieka, nie ma ani jednego.“ Na ojcach naszych ciąży ta klątwa, że nie było dość ludzi w Polsce dbałych o dobro publiczne, pracowitych, energicznych, sfornych i karnych. Te wady nasze, te wady jednostek objawiają się już wcześnie w skutkach ujemnych. Zrazu następstwa tych wad są małe, prawie niedostrzegalne, z biegiem upływających lat, wobec niekorzystnych warunków wzrastają one do takich rozmiarów, iż naród pod ich brzemieniem upaść musiał.

Zdanie każde tylko na dowodach oparte może mieć dla nas znaczenie. Tych więc dowodów śledzić nam obecnie wypadnie. Polska w XIV. i XV. w. przedstawia nam imponujący widok mocarstwa pierwszorzędnego. Nie tylko potężne i groźne na zewnątrz, lecz i wewnętrznym ustrojem wywiera siłę przyciągającą na sąsiednie narody. Litwa i Ruś rzuciły się w objęcia Polski i znalazły w niej potężną siostrzycę; tak samo Czechy, Węgry, Multany i Wołoszczyzna dążą do zjednoczenia się z nią. Zdawało się, że naród polski cały Wschód europejski skupi pod jednem berłem i swą potęgą o losach odtąd będzie rozstrzygać Europy. Wewnętrzny ustrój nie mniej świetnie się przedstawia: mamy potężnych magnatów gorliwych o dobro kraju, którzy świadomi spraw publicznych, swym taktem, swym zmysłem politycznym byli największą dla państwa korzyścią i jego chlubą.

Liczna szlachta, nie bardzo bogata a dziarska i bitna, to doskonały materyał dla armii, przed którą się korzą hufce niemieckich knechtów i tureckich jańczarów. Ona to na Wschód spiesząc kolonizuje Litwę i Ruś i o połowę Polsce ziemi przysparza, robiąc Litwę nie tylko pozornie, lecz rzeczywiście polską.

Mieszczaństwo, dawniej wprawdzie niemieckie, bogate, zaradne, handel europejski miało w swych rękach, pośrednicząc między wschodem a zachodem. Od Czarnego Morza przez Lwów, Kraków, Wrocław szedł główny trakt handlowy. Mieszczanin Wierzynek bogactwem swem zadziwia monarchów, za-Krakowianina uważany Wit Stwosz nieśmiertelne stwarza arcydzieła w dziedzinie sztuki.

Ciągle się powiększały miasta przypływem ludności wiejskiej, która nie mając wyżywienia na szczupłym kawałku gruntu, szukała zarobku w przemyśle. I sam lud wiejski przedstawia nader korzystny obraz. W przeciwieństwie do krajów zachodnich lud wiejski jest wolnym dzierżawcą na gruncie pańskim, z którego czynsz płaci. Szlachta nie zna jeszcze gospodarstwa folwarcznego, lecz żyje z czynszowników opłaty. Wprawdzie na małym kawałku ziemi trudno się wyżywić ciągle rozrastającej się rodzinie, ale ten nadmiar wpływa do miast, z drugiej strony gromadnie dąży na Ruś, by kolonizować tam żyzne niwy Podola. I pod względem oświaty i nauki my się bynajmniej powstydzić nie potrzebujemy.

Alma mater Jagielonica w Krakowie to uniwersytet europejski, do którego ze wszech stron przybywa młodzież: Czesi, Węgrzy, Niemcy, by słuchać takich mistrzów jak Wojciecha Brudzewskiego, Jana Elgotha, Pawła Włodkowica, Stanisława ze Skarbimierza.

Z tej akademii wyszedł słynny Kopernik, co słońce zatrzymał w biegu a ziemię poruszył ze swych posad, w jakie uwięziła ją dotychczasowa wiedza, tu uczył się słynny Niemiec Konrad

Celtes i znakomity satyryk Tomasz Murner. Nasz Długosz nie ma sobie równego w historyi, nasz Nidecki to najsłynniejszy humanista i filolog, który nowe drogi wskazywał badaniom.

W sztuce wojennej doszliśmy do takiej doskonałości, iż słabemi siłami gnietliśmy 10 kroć silniejszego wroga. Długo było zagadką to powodzenie oręża polskiego i dopiero nowsze badania odkryły, że te same urządzenia, jakie w nowszych czasach po armiach w części zastosowano, Polacy przed wiekami znali.

Jednem słowem mówiąc słowami wieszcza:

*Wszystko nam dałeś, co dać mogłeś Panie*
*Z skarbu wiecznego miłościwej łaski.*

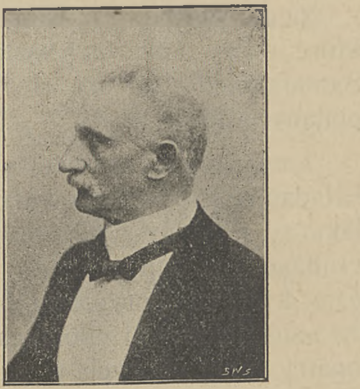
A jednak to wszystko roztrwoniliśmy! To, co genialna dłoń Łokietka i Wielkiego Kazimierza przygotowała, zmarniało z naszej winy i sami siebie i ludy do nas się garnące daliśmy w niewolę.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

## W sprawie Książki Jubileuszowej „Dziennika Poznańskiego“

otrzymujemy następujące sprostowanie:

„W artykule „Pracy“ o książce jubileuszowej „Dziennika Poznańskiego“ zaszła omyłka, pochodząca z omyłki w Skorowidzu owej książki, historya bowiem „Dziennika Poznańskiego, skreślona przez prof. dra Sta-



**Profesor Dr. Stanisław Karwowski.**

nisława Karwowskiego, obejmuje nie lat 5, lecz 50, powinno więc być: „Historya „Dziennika“ do r. 1909, a nie 1864. Data, podaną w Skorowidzu (1859—1864), odnosi się do pierwszej części Historyi.“

Jednocześnie zamieszczamy podobiznę p. profesora dra Stanisława Karwowskiego, którą skutkiem pospiechu pominęliśmy pomiędzy portretami zamieszczonemi w numerze noworocznym.

## Przerwana szczęścia złota nić....

Przerwana szczęścia złota nić,
Przerwana pieśń radosna,
A jednak — jednak trzeba żyć,
Choć w oku łza żałosna. —
Choć serce już na jeden strzęp
Rozdarte w locie swoim,
Odrzucaj wciąż ten ziemski lęk
O Bogu myśląc twoim.
Gdy pnąc się tam w ten górny szlak
Napotkasz ostre ciernie,
Wspomnij, że Bóg a cierpiał tak
I wszakżeż wytrwał wiernie.
A gdy już z oka kropla łzy
Nie spłynie w serca ranę,
Znów do Jezusa zwróć się ty,
A On ci da obronę.
Więc choć przerwana szczęścia nić,
Przerwana pieśń radości,
Nie przestań o swem szczęściu śnić:
O szczęściu... tam — w wieczności.

*Janka.*

# Z teatru.

*„Chata za wsią.“*

Sceniczna przeróbka znanej powieści Kraszewskiego należy do lepszych tego rodzaju rzeczy. Jestto rzecz bardzo efektowna, działająca silnie na zmysły i wyobraźnię mniej pretensyonalnej publiczności, dużo w niej scen wielce patetycznych, całość owiana urokiem dzikiego nieco romantyzmu, słowem sztuka par excellence ludowa, mogąca zawsze liczyć na sympatyczne przyjęcie u publiczności. W tego rodzaju sztukach podobnie jak w operetach wielką rolę odgrywa zewnętrzna wystawa, bogactwo barw, zręczne wyreżyserowanie, co wszystko znalazło na scenie naszej daleko idące uwzględnienie.

Jest także w sztuce tej kilka ról bardzo efektownych, dających artystom szerokie i wdzięczne pole do popisu. Są to role Azy, Tumrego, Motruny, Lepiuka i trudna i interesująca rola głupiego Janka, która u pana Bogusińskiego w dobrych była rękach. Artysta w masce był znakomity. W grze uwydatniały się pewne nierówności, naogół jednak całość wypadła bardzo sympatycznie. Rolę namiętnej Azy objęła panna Turowiczówna. Artystka włożyła w swą kreacyę dużo siły, dużo szczerego temperamentu, jednakże brak było tego dzikiego ognia, który płonie w piersiach tej gwałtownej, rozhukanej „dja-

blicy“, fascynującej urokiem swej indywidualności, czarem swej zwycięskiej postaci całe swoje otoczenie. Tumry pana Kęckiego wypadł trochę blado. Artysta ten stanowczo lepszy jest w salonowych rolach. Bardzo sumiennie opracował p. Czerniak swą rolę i oddał postać Lepiuka należycie. Scena zgonu utrzymana była w ramach artystycznych, przy wszelkim realiźmie było tam dużo koniecznej, estetycznej powściągliwości w szczegółach, co wyszło na korzyść całości istotnie wzruszającej. Bardzo sympatycznie prezentowała się panna Sławińska w roli Motruny. Nie była to wprawdzie kreacya wykończona w najdrobniejsze szczegóły, jednakże było w tej grze dużo szczerości, wiele ciepła, słodyczy i tych subtelnych a głębokich i wzruszających akcentów, świadczących dobrze o talencie artystki.

Pomniejsze role w dobrych były rękach. Na wzmiankę pochwalną zasługują drużbowie wraz z niefortunnym Kajtusiem, oraz p. Królikowska (Jaga), p. Szatkowski (Aprasz) i p. Kopczyński, którego sympatyczny baryton znalazł wdzięczne pole popisu.

Do powodzenia i uświetnienia całości przyczyniły się walnie znakomite produkcye choreograficzne niezrównanych państwa Faliszewskich, którzy zasłużyli sobie na epitet prawdziwych ulubieńców publiczności. *R.*

---

# Dział kobiecy.

**W sprawie wykształcenia kobiet i dziewczyn na pielęgniarki wiejskie.**

Na początku roku ubiegłego przedstawiliśmy w pismach potrzebę wykształcenia odpowiednich do tego dziewczyn czy kobiet na pielęgniarki czyli t. zw. Samarytanki, któreby na wsi czy to przy nagłych wypadkach czy też w obłożnej chorobie z umiejętną spieszyły pomocą do chorych.

Mimo, że warunki uzyskania tego wykształcenia w klinikach poznańkich były bardzo dogodne, zgłosiły się tylko dwie osoby, które też potrzebne wykształcenie uzyskały w oznaczonym przez nas czasie.

Ponieważ potrzeba takich pielęgniarek czyli Samarytanek z dniem każdym coraz widoczniej i dotkliwiej występuje, więc głos nasz i w tym roku podnosimy, pragnąc, aby tym razem większego doznał posłuchu.

Rozważmy tylko pokrótce tę potrzebę!

Jakże smutnym jest stan chorego w ubogim domu na wsi! Iluż nie ma na to, aby w razie choroby zapłacić za furmankę i posłać po lekarza! Jeśli zaś fundusze mu na to starczą, chlebodawca lub sąsiad się zlituje, nie ma nieraz nikogo, ktoby mu lekarstwa w odpowiedni sposób i w przepisanej godzinie podawał, opatrunki zmieniał, zabiegi nakazane przez lekarza wykonywał. Niejeden chory na wsi umarł mimo, iż miał lekarza, dla tego, że przepisów lekarskich nie zastósowano lub źle je wykonano.

A ileż boleści znieść musi chory niepotrzebnie dla tego, że nikt od chwili pojawienia się choroby umiejętnie się nią nie zajmie. Mógłby już n. p. lekarz przywieść ze sobą instrumenta i lekarstwa, gdyby mu woźnica zaraz powiedział, jakiego rodzaju dolegliwości ma chory, tymczasem godziny mijają, lekarz przybywa, ale nie mając środków właściwych pod ręką, wraca, aby je z apteki wysłać — a tymczasem wiele godzin najstraszniejszych nieraz boleści chory dla tej nieumiejętności znieść musi.

Częstokroć znów w chorobach lekarstwa nie są najważniejszą rzeczą — więcej chodzi o to, aby chory otrzymywał odpowiednie lekko strawne pokarmy i napoje, aby wietrzono izbę, równo ją ogrzewano, zmieniano pościel i bieliznę.

Weźmy dalej nagłe wypadki zranienia się — jak mało ludzie się znają na zatamowaniu krwi! Albo krwi ubiegnie tak wiele, że zranionego nie można utrzymać przy życiu, albo też opatrunki są tak nieczyste i nieodpowiednie, iż zakażenie krwi się przyłącza.

A ile to jest na wsi fałszywych sposobów leczenia, ile środków szkodliwych, do których skuteczności się wielką przywiązuje wiarę — ile zabobonów, które pogorszyć tylko mogą stan chorego!

Z tego wszystkiego wynika, iż oprócz ogólnej oświaty pod względem starania się o zdrowie i zastósowania odpowiednich środków leczniczych, potrzebne są osoby, któreby były pod ręką, gdy choroba wystąpi, i któreby wykonywały przepisy lekarza, pielęgnowały chorego. Potrzeba, aby w każdej wsi na każdy okręg porozrzucanych osad, a przynajmniej w każdej parafii była osoba znająca się na pielęgnowaniu chorych.

W innych krajach wychowano sobie już takie Samarytanki, które ludności wiejskiej niezmiernie oddały przysługi.

Okazało się, że Samarytanki wiejskie najstósowniejszemi są te wiejskie dziewczyny czy wdowy, które po odebraniu wykształcenia w mieście na tę samą wieś wracają. Mianowicie odpowiednie są do tego zadania córki gospodarzy i zagrodników lub też dziewczyny, które mają swoją izdebkę i same się utrzymują, bądź to pracą na roli i w ogrodzie, bądź to szyciem.

W ten sposób nie odrywa się takiej osoby od zajęcia, z którego ma utrzymanie. Oczywiście stać się może, że Samarytanka tyle znajdzie zajęcia, iż ci, którzy jej pomocy potrzebują, muszą ją utrzymać, skoro cały swój czas im poświęca. Nie wątpimy, że i u nas dużo jest takich dziewczyn, które nie mogą lub nie chcą wyjść za mąż, a z drugiej strony nie czują powołania do życia zakonnego lub też do klasztoru wstąpić nie mogą, a pragną z miłości Boga i z potrzeby swojej duszy bliźniemu służyć jak najlepiej. Nie znajdą rzeczywiście one piękniejszego zadania życia, jak że cierpiącym i chorym ulgę przyniosą, niejednemu matkę, siostrę czy córkę zastąpią i staną się prawdziwemi siostrami miłosierdzia, nie ubranemi w habit zakonny, ale wyposażonemi w tę samą umiejętność służenia choremu i w tego samego ducha ofiary.

Choćby zaś taka Samarytanka później za mąż wyjść miała, to wiadomości, jakie odebrała podczas wykształczenia, oraz doświadczenia, jakie przy usłudze chorych poczyniła, w swojej rodzinie w najrozmaitszych okolicznościach zużytkować może, o ile czas wolny od zajęć domowych pozwoli, oddawać przysługi sąsiadom, a swoją wiedzę przekazać innym.

Niech więc wszystkie te osoby, które mają zamiar wykształcić się na Samarytanki zgłoszą się pod poniżej podanym adresem.

Towarzystwo niżej podpisane, składające się w przeważnej części z lekarzy i duchownych, postanowiło urządzać paromiesięczne kursa, podczas których kandydatki będą słuchały nauk lekarzy i pomagały im przy opatrywaniu chorych w zakładach dla chorych. Towarzystwo postarało się także o odpowiednie utrzymanie i mieszkanie dla kandydatek. Koszta zupełnego utrzymania wynoszą za 8 tygodni około 40 marek — podręczniki, przybory, drobne wydatki około 10 mrk., a prócz tego każda musi ponieść koszta podróży do Poznania i z powrotem.

Zgłoszające się winne mieć skończony 21 rok życia, umieć czytać i pisać, posiadać świadectwo dobrych obyczajów, wystawione przez swego duszpasterza, i świadectwo lekarskie

świadczące o odpowiednim stanie zdrowia.

Zgłoszenia przyjmuje Związek Polsko-katolickich Towarzystw dobroczynnych w Poznaniu, ul. Ludwiki 7 do 25-go stycznia.

*Zarząd Towarzystwa hygieniczno-społecznego.*

Radzca dr. *F. Chłapowski*, prezes. *Lucyan v. d. Osten-Sacken*, wiceprezes. *Dr. Adam Karwowski*, sekretarz. *Seweryn Wrzesiński*, skarbnik.

*Wydział:*

*Ks. kanonik Adamski. Dr. Adamczewski. Szambelan Cegielski. Dr. T. Dembiński. Dr. Gantkowski. Dr. Grabowski. Ks. prob. Kościelski. Dr. Łazarewicz. Wal. Łebiński. Helena Leitgebrowa. Ks. prob. Mayer. Dr. Mizerski. Dr. Tad. Schultz. Dr. Święcicki. Aniela Tułodziecka. Dr. K. Zakrzewski. Ks. kan. dr. Zimmermann.*

## Nowe książki i treść pism.

*Szkółka pisowni polskiej.* Pisma nasze codzienne powtarzają na wybitnem miejscu: „Uczmy dzieci czytać i pisać po polsku!“

Koniecznem jest to wzywanie do spełnienia obowiązku obywatelskiego, ciążącego na każdym Polaku, który pragnie, żeby młode pokolenie się nie wynarodowiło, tylko pozostało wiernem sztandarowi i ideałom ojców.

Ale nie starczy samo wzywanie i przypominanie obowiązku, trzeba rodzicom i opiekunom dzieci pełnienie tego obowiązku ułatwić, trzeba im dać wzory do nauki polskiego czytania i pisania.

Wzory czytania istnieją u nas w dostatecznej mierze we formie elementarzy, które rozchodzą się u nas w wielkiej liczbie.

Wzorów pisania u nas nie ma. Są w elementarzach wzory pisanych liter, ale nie ma objaśniających wskazówek jak je należy pisać.

Brakowi temu postanowiło zaradzić Towarzystwo „Oświata“ w Berlinie za pomocą wydawnictwa pod nazwą *Szkółka pisowni polskiej.*

Wyszły już pierwsze trzy zeszyty „Szkółki“, zawierające pewną organiczną całość.

Umożliwiają one dzieciom polskim nauczanie się bez pomocy szkoły początkowego pisania i czytania polskiego.

Zeszyt I. zawiera: głoski jednostopniowe z dokładnemi objaśnieniami wykonania każdej litery z osobna; liczby od 1—10.

Zeszyt II: składownią głosek jednostopniowych na sylaby i wyrazy; liczby od 1—100.

Zeszyt III: głoski dwustopniowe w „dół“ i w „wyż“ z dokładnemi objaśnieniami; — pisownią zdań całkowitych w trudnych, równobrzmiących wyrazach.

Wszystkie trzy zeszyty zaopatrzone są w nagłówki, zawierające napomnienia, zalety, zdania i przysłowia treści moralnej.

W dole na załamku znajdują się odnośne głoski drukowane.

Gdy Tow. „Oświata“ przekona się, że pierwsze 3 zeszyty „Szkółki“ znajdą popyt w społeczeństwie i że zamiar jego niesienia początków oświaty polskiej dziatwie naszej i tym Polakom, którzy po polsku dobrze pisać nie umieją, znajdzie należyty oddźwięk w społeczeństwie, przystąpi niezwłocznie do wykonania II. seryi „Szkółki“, zawierającej także 3 zeszyty, a kończącej naukę poprawnego polskiego pisania.

Pierwsza serya zawierająca 3 zeszyty, opracowana została przez fachowego pedagoga i wykonaną jest wyłącznie przez Polaków. Nader praktycznie ułożone zeszyty „Szkółki pisowni polskiej“ służyć mogą dziatwie naszej i osobom, nie umiejącym pisać po polsku nie tylko do nauczenia się polskiego pisania, ale do pewnego stopnia uzupełniać będą elementarz przez to, że się z nich każdy równocześnie nauczy podług kaligraficznych wzorów i czytać i pisać, składać głoski na sylaby, tworzyć wyrazy i zdania itp. Jest to pierwsze tego rodzaju wydawnictwo w zaborze pruskim.

Wobec faktu, że z szkół państwowych nauka języka polskiego jest wydalona, i że nie wolno nam nawet prywatnych utrzymywać szkół, w którychby dzieci nasze mogły się uczyć czytać i pisać po polsku, mają niniejsze zeszyty być praktyczną prywatną szkółką polskiego pisania i czytania. Jeżeli jednak mają spełnić swoje zadanie, nie powinny spoczywać na półkach wydawnictwa lub w księgarniach, tylko znaleźć się winny w każdym polskim domu. Kto je sprowadzi, wnet się przekona, jak one znakomicie ułatwiają rodzicom pracę nad przyswojeniem dziatwie polskiego czytania i pisania.

Aby jaknajbardziej rozszerzyć „Szkółkę pisowni polskiej“ i przez to przyczynić się do oświaty najmłodszego pokolenia polskiego, któremu zewsząd grozi niebezpieczeństwo zniemczenia, ustanowiło Tow. „Oświata“ cenę możliwie niską. Podjęło bowiem to wydawnictwo w celu idealnym, nie dla zarobku i liczy na to, że społeczeństwo w własnym interesie je poprze. Towarzystwo „Oświata“ będzie zadowolone, jeżeli tylko pokryje koszta, które są znaczne.

W tej myśli odzywa się do wszystkich Towarzystw polskich w kraju i na obczyźnie, księgarń, składów i przedsiębiorstw polskich, żeby te zeszyty zaprowadziły, polecały i sprzedawały.

Cena zeszytu w hurtownej sprzedaży wynosi 10 fen., cena pojedyńczego zeszytu 15 fen. Dla Towarzystw oblicza się hurtowną cenę (10 fen. za zeszyt) już przy zakupieniu najmniej 10 zeszytów. Dla księgarń odpowiedni rabat.

Nadto Towarzystwom tutejszym, któreby chciały rozpowszechnić większą liczbę „Szkółki“ a nie mogą z góry za nią zapłacić, da „Oświata“ każdą żądaną ilość (więcej niż 10) w komis.

Główna administracya i ekspedycya „Szkółki pisowni polskiej“znajdować się będzie u skarbnika naszego Towarzystwa p. Michała Wróbla — Berlin, Elisabethufer nr. 50.

Dla rodaków Berlina i okolicy znajduje się miejsce sprzedaży w ekspedycyi „Dziennika Berl.“, Raupachstr. 6, w księgarniach Wolnego—Moabit, Oldenburgerstr. 6 i Przybyszewskiego — Feldstr. 4, dalej u pp.: Juliana Sokołowskiego, Friedrichstr. 218, Jana Schmidta (Moabit) Emdenerstr. 51, J. Mikołajczaka, Sebastianstr. 52, Antoniego Nowaka, Lützowstr. 23, St. Konatkowskiego, Lausitzerplatz 12, J. Cygańskiego, Fruchtstr. 57—58; w Charlottenburgu u p. Franciszka Tyrakowskiego, Sophie Charlottestr. 27; w Wilmersdorfie u p. Franciszka Załachowskiego, Grolmannstr. 42; w Rixdorfie u p. L. Leśniewskiego, Jägerstr. 50.

Zeszyty „Szkółki pisowni polskiej“ to najpiękniejszy, najpraktyczniejszy i *najpożyteczniejszy podarek dla dzieci polskich.*

Towarzystwa nasze, urządzające podarki dla dzieci, prosimy, żeby o tym podarku w pierwszym rzędzie pamiętały. Tę prośbę stosujemy także do wszystkich rodziców polskich. Wobec istnienia „Szkółki pisowni polskiej“ nie może dziś nikt się zastawić brakiem lub niemożnością uczenia dzieci polskich ojczystego języka.

Szanowne Redakcye pism polskich prosimy uprzejmie o ogłoszenie niniejszej odezwy i poparcie dzieła, któremu pragniemy się przysłużyć naszej sprawie.

*Zarząd Tow. „Oświata“ w Berlinie.*
*Franciszek Krysiak*, przewodniczący. *Julian Sokołowski*, zastępca przewodn. *Michał Wróbel*, skarbnik. *Michał Gulcz*, sekretarz. *Dr. J. Adamczewski. A. Nowak. K. Bronikowski. J. Cygański. Bolesław Liskowiak. Fr. Załachowski.*

* * *

*„Przeglądu kupieckiego“*, organu Zjednoczenia Młodzieży kupieckiej w Poznaniu, wyszedł nr. 1 rocznika II. i zawiera: Komunikaty Zjednoczenia. — Na Nowy Rok. — O związek Towarzystw Młodzieży polskiej. — Pomocnik handlowy jakim warunkom winien uczynić zadość i jakie okoliczności uwzględnić, gdy zamierza się osiedlić. — Kilka uwag o kupiectwie detalicznem w Poznaniu. — Listy z Cieszyna. — Listy z Górnego Śląska (feljeton). — Korespondencye. — Myśli noworoczne. — Stosunki poznańskie. — Głos w sprawie handlowego personału żeńskiego. — Zaprowadzenie czeków pocztowych. — Komunikaty Towarzystwa Młodzieży kupieckiej w Poznaniu. — Związek kupców podróżujących. — Nasze Towarzystwa. — Wyroki sądów kupieckich. — Rozmaitości. — Sprostowanie. — Skrzynka Redakcyi. — Wydział wskazywania posad. — Ogłoszenia. — „Przegląd kupiecki“ abonować można na wszystkich pocztach za 1 mr. kwartalnie.

* * *

*Jasełka* (Szopka) Oratoryum ludowe w pięciu oddziałach, śpiewach i obrazach scenicznych z kolęd i kantyczek zestawił *ks. Leonard Solecki*, prob. ob. rz. kat. w Brzeżanach. Wydanie piąte, poprawione. Wyciąg fortepianowy z tekstem. Kraków. Nakład księgarni katolickiej Dra Władysława Miłkowskiego. 1909.

* * *

*„Wesoła Wdówka“*, operetka w trzech aktach, przekład polski A. K. Nakład księgarni i składu nut Marjana Niemierkiewicza w Poznaniu.

# Zaproszenie do przedpłaty na nowy kwartał.



**Niniejszy numer jest drugim w bieżącym kwartale i roku,**

czas więc jeszcze odnowić przedpłatę na nowy, pierwszy kwartał 1909 roku na poczcie, która zobowiązaną jest, dostarczyć zaległe numera.

Prosimy Szanownych Czytelników, aby nie tylko sami odnowili przedpłatę na pocztach, ale aby byli łaskawi zachęcać do zapisywania „Pracy“ przyjaciół, sąsiadów i znajomych.

„Praca“ kosztuje na wszystkich pocztach 1,50 mk. z odnoszeniem do domu 1,62 mk. na kwartał.

* * *

*Nie mamy zwyczaju zapowiadać na Nowy Rok wielkich zmian i niespodzianek. To jedno możemy powiedzieć: wzrasta poczytność i wpływ pisma, a w tym samym stopniu odpowiedzialność jego. To zmusza do ciągłych starań o ulepszanie wydawnictwa wewnętrzne i techniczne. Swiadomość tej odpowiedzialności i płynących ztąd obowiązków wydawnictwo ma zupełne. Zapewnienie o tem czytelników — to jedyna deklaracya noworoczna, jaką dać możemy.*

* * *

W numerze 52-im rozpoczęliśmy druk pięknej, nadzwyczaj sensacyjnej powieści p. t.

**„Czarna ręka.“**

Powieść osnuta jest na tle stosunków amerykańskich, a rej w niej wodzi tajemny związek rozbójników t. zw. maffia. Powieść czytać będzie każdy z wielkiem zainteresowaniem i nadzwyczajnem zaciekawieniem od początku do końca.

W numerze następnym (trzecim) rozpoczniemy piękną

**baśń ukraińską o słynnym wieszczu Wernyhorze,**

**do której dołączymy cztery albumowe ryciny wielkich rozmiarów. Ryciny przedstawiać będą wysoką wartość artystyczno-historyczną.**

* * *

**Kwity pocztowe na nowy kwartał zamieszczone są na pierwszej stronie pod okładką.**

* * *

**Nowi abonenci otrzymają początek powieści p. t. „Czarna ręka“ bezpłatnie za nadesłaniem znaczka pięciofenygowego na porto.**

* * *

Numery okazowe wysyłamy na życzenie bezpłatnie i franko.

**Baczność!** Przypominając Czytelnikom naszym zamieszczone w numerze 1-szym na stronie 16-ej ogłoszenie, **dotyczące 200 marek** nagrody za rozszerzanie „Pracy“, prosimy ich, aby **na dowód, że za ich staraniem jako ubiegających się o nagrodę „Praca“ zaabonowaną została,**

przysłali do 15-go stycznia rb. odnośne kwity pocztowe

pod adresem: **„Praca“, Poznań-Posen.**



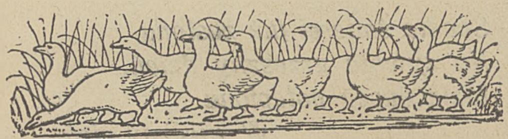

W DRODZE DO EGIPTU.



Drukiem „Pracy.“



Kurytyba, stolica stanu Parana (Brazylia.)



Camille Lemonnier.

# Nieszczęsna nadzieja.

Po trzech długich, jak wieczność, miesiącach nadszedł nareszcie list od niego!

Chłopiec pisał wesoło, szczerze. Prawdziwy marynarz. Przed ich oczami przesuwały się tajemnicze a żywe widma wysp, mórz, wielkich, pachnących przestrzeni i portu. Poza każdą zaschniętą kroplą atramentu, widzieli jego drogi obraz, jego ruchy, oczy — słyszeli dźwięk głosów! Widzieli jego życie płynące harmonijnie, zlane w jedno z rytmicznie falującemi wodami Atlantyku...

Potem upłynęły cztery miesiące w próżnem oczekiwaniu drugiego listu. W swej wielkiej prostocie i dziecinnej wierze ufali w łaskę i pociechę niebios, wyglądając co dnia listu, który miały im przynieść spienione, niespokojne wody.

Myślą przebiegali te wielkie przestrzenie — tę drogę, po której on odpłynął, czerpiąc z tych wspomnień dziwną pociechę. Zdawało im się, że w ten sposób staje się im bliższy, że jakaś drobna cząstka jego istoty pozostała przy nich.

Jednego dnia morze niespodzianie zawołało go do siebie. Był to głęboki, poważny głos przeznaczenia. A w nim od tej chwili zbudził się człowiek inny, nieznany im, nieznany nawet sobie, który poszedł ślepo za głosem tego nowego życia.

Ani łzy wylane, ani uczynione śluby, by przywiązać go do życia mniej tułaczego — nie mogły go zatrzymać... I pozostali w noc ciemną nad brzegiem morza, wyciągając ramiona do tego dziecka, które w ostatnim uścisku pozostawiło im cząstkę swej duszy...

A teraz, w te długie wieczory, przy bladem świetle lampy, siedzieli oboje badając mapę, płynąc bez steru i busoli, w trwodze i nadziei, po tym wielkim oceanie, który widzieli jako wyobraźnią zasmuconych serc. Po tych to olbrzymich wodach płynął ich „marynarz“, ich syn, mając jedynie ku pomocy, otaczające go nieznane żywioły!

I w tych badaniach codziennych nad mapą, zatrzymywali zawsze spojrzenia swoje na biegunie; był tam maleńki punkcik próżny, przy którym kończyło się wszystko i wyobrażali sobie, że Bóg również jak oni samotny i smutny śledzi dobrotliwemi oczami każdy ruch ich „małego.“

Ta mapa wszechświata nabierała w ich oczach czegoś mistycznego!

Bez świadomości, jedynie mocą wielkiego ukochania, ożywili ją siłą magnetyczną, która uległa ich woli, regulowała porządek w nieskończonem przestworzu! W sercach ich mieściły się te bezbrzeżne, wielkie wody, z plamą okrętu ciemniejącego w dali — i zdawało im się, że ludzie całego świata wypłynęli wraz z ich synem. — Rozliczne, drobne sieci rozsypane po mapie i przerzynające błękitną taflę morza — nabierały w ich wyobraźni kształtów długich, bezbarwnych włosów — dawno zaginionych topielców. Rozsnuwali je drżącymi palcami, matka nachylona przez ramię starego ojca, samotni, cisi, w głębi małego domku, śledząc drogę, którą przebiegał ich mały.

Dla nich ta sieć miała wielkie znaczenie. Zdawało im się, że to ostry dziób okrętu prując głębokie wody morza — pozostawił te ślady.

Zapatrzeni, zatopieni w poszukiwaniach, mieli wrażenie, że nici te blade złączone są silnie i trwale z filarami ich

serc i wnętrzności i że póki one żyją, ich chłopiec zginąć nie może.

Upłynęło wiele, wiele długich miesięcy.

I nagle uczuli się bardzo starzy, poczuli się ostatniemi latoroślami zamierającej ludzkości — dwojgiem staruszków z epok ubiegłych, pozostawionych na skale, zkąd rozciągała się zawrotna dal — osamotnionych wielkich, jasnych przestrzeni.

Czasem nie przypominali sobie wcale rysów twarzy dziecka, widzieli syna takim, jakim był maleńki, owinięty w pieluszki.

Oczy ich osłabły od ciągłego wpatrywania się w mapę, mapa zniszczyła się od dotknięcia ich drżących palców.

Wyżłobiły one na pożółkłym papierze, szeroki ślad, który zatarł wszelkie inne — po którym bezustannie błądziły stęsknione ich dusze.

Przy końcu szesnastego, upływającego miesiąca, zaczęli staruszkowie odwiedzać kościoły — paląc gromnice przed ołtarzami Maryi, całując z pietyzmem święte obrazy. Długie godziny spędzali w chłodnych nawach, wyciągając błagające ramiona do krzyża, który stał się symbolem ich boleści. Krzyż ten nosili w sobie, w swych wysuszonych ciałach — niby umarłe a żywe jeszcze trumny zamykające w sobie ból i miłość głęboką.

Byli już umarli — lecz jeszcze żyła w nich niczem nie zgaszona nadzieja.

Jednego dnia ojciec stary wszedł niespodzianie do pokoju, w którym znajdowała się matka.

Z słodkim uśmiechem na twarzy, kołysała na rękach kłąb różnych szmatek, które przystroiła w sukienkę obszytą koronkami i wstążkami. Sukienka ta, służyła niegdyś „małemu“ do chrztu.

Było to straszne, bolesne odkrycie dla starego.

Nagle przeszyła go pewność, jasna, nieubłagana, że syn ich umarł.

Przestał dziwić się, że ona żyć mogła jeszcze nabrawszy tej pewności — gdy zrozumiał, że żyła jedynie wspomnieniem, że mu życie dała.

Niedługo i on zaczął się w ten sposób okłamywać i pomagał jej drżącemi od starości rękami rozbierać „małego“ ja to dawniej czyniła i układać go do snu w kołysce.

I ten powrót do przeszłości był słodkiem, a smutnem dla nich marzeniem, jak gdyby to bóstwo wcielone w małe, dziecinne ciałko — mogło im przywrócić radość, której doznali niegdyś, widząc je wzrastające w ich oczach.

Jednakże to słodkie marzenie, stało się przez monotonność swoją, bólem.

Poskładali napowrót maleńkie sukienki i znowu zaczęło się dla nich życie pełne smętnej nadziei. Może listy jego zaginęły na tem wielkiem, bezbrzeżnem morzu? może dopłynął do jakiego zakątka ziemi dzikiej a nieznanej, na której stopa cywilizacyi nie stanęła jeszcze?

Przenieśli się do portów — zarzucali konsulaty listami i pytaniami; przysłuchiwali się rozmowom marynarzy, Nikt o nim nic nie wiedział.

Płacz stał się im obcy; zaprzestali mówić do siebie. Widok przybijających do przystani okrętów i łodzi stał się im tak nieznośny, że zamykali się u siebie dręczeni widokiem powracających z wypraw marynarzy.

I w tej wielkiej boleści pragnęli teraz gorąco jego śmierci — tak, jak pragnęli niegdyś jego powrotu. I czuli, jak w tem okropnem oczekiwaniu z dnia na dzień zamierało, gasło ich życie!

Woleli byli najstraszniejszą pewność od tej dręczącej, rozpaczliwej niepewności, która jak ciężki całun kładła się na myśl ich każdą.

Nareszcie jednego dnia w duszach ich zmęczonych wyrosło przekonanie, że Bóg wysłuchał ich modłów i zamówili mszę żałobną za swe nieszczęśliwe dziecko...

I wtedy dopiero spokój zawitał do nich, ale równocześnie niczem niepocieszona boleść ogarnęła ich serca.

Uprosili sąsiadkę aby zabrała mapę, która ich zwodziła. Upłynęły trzy lata; — wspomnienie „małego“ było otaczane bałwochwalczym kultem i pietyzmem. Radość połączoną ze smutkiem, sprawiała im nieustanne pragnienie wywoływania obrazów z przeszłości. Niekiedy, jakby przed posągiem bóstwa składali ofiary i świecili lampki olejne z gorącem, dziecinnem uwielbieniem.

Lecz w niektóre dnie powracała przecież nadzieja, czyniąc ich jeszcze bardziej nieszczęśliwymi. Nareszcie przez jakąś agencyę dowiedzieli się o rozbiciu okrętu i o utonięciu ich syna.

Tym razem było to prawie wybawieniem: oczy wyschłe nanowo płakać poczęły gorącemi łzami, jakgdyby go odnaleźli po długiej nieobecności.

I dziękowali szczerze Bogu z żarliwością udręczonego serca, pewni, że łaska dziwna spłynęła na nich, że gorące ich modły wysłuchane zostały.

Przez pamięć dla jego zwłok, które zaginęły gdzieś nieodnalezione — składali ofiary przed Matką i opiekunką biednych marynarzy i opuszczonych ludzi. Dwa razy w miesiącu zdobili kwiatami Jej ołtarze, zdobiąc niemi równocześnie obraz zaginionego syna.

I te gorące starania wysuszyły do reszty wynędzniałe ich ciała. Lecz starość swoją przyjmowali pogodnie, uważając ją teraz za mniejsze zło niż śmierć samą. Jednakże los nieoszczędził im ostatniej próby.

Raz wieczorem ktoś zapukał do ich drzwi. Otworzyli i stanęli naprzeciw człowieka zupełnie wynędzniałego — który wyciągając do nich wychudłe ramiona, nazwał się ich synem.

Lecz serca ich skamieniały w długoletnim bólu; przypatrzyli się mu, potrząsając głową i żadne z nich nie uczuło w sobie siły do zniesienia tego nowego cierpienia, które już raz przeżyli.

Nie przyjęli dziecka, które wracało do nich zmartwychwstałe i milcząc ofiarowali mu trochę pieniędzy — pragnąc jego odejścia, opłakując tamtego zmarłego, który umierając wlał w nich zamierające już siły do życia. Mogli teraz spokojnie oczekiwać końca.

Tłom. *M. S.*

# *W wieczny cień.*

*Spadła śmierci już zasłona*
*Na żywota grzeszny dzień,*
*Idzie dusza potępiona*
*W wieczny cień.*

*Idzie w ciemność tak leniwo,*
*Na rzucony patrząc świat,*
*Gdzie występków smutne żniwo*
*I zbrodniczy został ślad.*

*Widzi każdą myśl swą czarną,*
*Jak jej zniszczyć nie mógł zgon,*
*I szkodliwe widzi ziarno*
*Jak obfity daje plon.*

*Złe na gorsze się przemienia,*
*Błędy ojca bierze syn,*
*I z pokoleń w pokolenia*
*Spada ciężar dawnych win.*

*Więc przeklęte widząc koła*
*I występku tajną moc,*
*O zatratę własną woła,*
*O nicestwa głuchą noc.*

*I przez ognia idąc rzeki*
*Straszną rozpacz niesie w dal,*
*Chce się ukryć gdzieś na wieki*
*W płomienistych głębi fal.*

*Chce, by płomień wyżarł z łona*
*Nieśmiertelny bytu rdzeń,*
*Idzie dusza potępiona*
*W wieczny cień!*

*El...y.*



**U Zagrody polskiej w Brazylii.**
Typ wózka dwukołowego, używanego obecnie w Brazylii do obsługi w pobliżu domu. Wóz ciężarowy (czterokołowy) bywa zaprzężony w 4 do 6 par wołów; koła jego wyrabiane są z jednej sztuki drzewa (bez szprych.)

**T. Warchałowski.**

## Matula.

W ciemnej izbie nad łożem, kilku łachmanami zasłanem, zawodzi matka siwa.

Bo oto śmierć, ta bezlitosna, nieubłagana, wstąpiła w nędzne progi te i syna jej kochanego wzięła z sobą.

Skonał ulubieniec matki staruszki.

Już odtąd nigdy nie przyjdzie ten jej ukochany, nie będzie się z bólów, trosk i smutków jej zwierzał, ni snuł błękitnych nadziei.

Skonał on — podpora jej starości, ten jasny kwiat jej życia, przedmiot jej ukochania.

Jej mogiła była przeznaczona, dla niego raczej życie, jej już trumna, a jemu ognisko domowe, jej czarny krzyż, nie jemu.

Lecz któż przeznaczeniu oprze się?

Jej dusza w szmaty drzeć się będzie, gdy jego jęk dzwonów do snu nieprzespanego kołysał będzie żałośnie.

On opuścił już „tę ziemię łez i wiecznych cieni, — gdzie głód się rodzi i nędza się pleni“ — nieszczęsną, skamieniałą ziemię.

Opuścił.

Matula płacze i łka żałośnie.

Bo nie będzie, ktoby jej oczy zamknął, za nią zapłakał i na mogiłki odprowadził.

Sama wlec będzie się musiała przez to życie, wśród wichrów i burzy, sama została, jak ten krzyż spróchniały tam przy dróg rozstaju.

I jak on skrzypiąc żali się na nędzę i niedolę, tak ona żalić się będzie.

W około ciemno, tylko dwie świece nad głową zmarłego płonące rzucają blade światełko.

I one ciężkie łzy za zmarłym toczą na łoże.

A przed nim wyciągnęła się jasna ścieżka i zdawało się jemu w mgłę owiniętemu, że ową ścieżką nie idzie, lecz płynie radośnie.

## *Ze skarbca prawd.*

*Parciana wolność jest lepsza od złotych kajdan.*

* * *

*U siebie należy śmiało wytykać wady i niedostatki rodzinnej ziemi, wśród obcych bronić jej od zarzutu i sławić zalety.*

*Władysław Karoli.*

## *Grajek wiejski.*

*Na dworze zimno, chmurno i słota.*
*Po siołach grajek wędrowny chodzi,*
*Starzec zgarbiony, biedak, sierota,*
*Skrzypkami ludziom dni smutku słodzi.*
*Idzie pokornie drogą przez sioło.*
*Staje przed każdą wieśniaczą chatą,*
*Każą mu grywać raźno, wesoło*
*I darzą za to nędzną zapłatą.*
*Nikt starca słowom wszak nie uwierzy,*
*Że w sercu nieraz boleść wywoła*
*Pieśń melodyjna, co ze strun bieży,*

*Pieśń skoczna, szumna, gwarna, wesoła,*
*Nikt nie pomyśli z słuchaczy pewnie,*
*Że grajek czasem pieśń tęskną woli,*
*Żeby chciał czasem zagrać im rzewnie,*
*Wylać w strun dźwięku, co w sercu boli.*
*Ale gdzie idzie — przez całe sioło,*
*Przed każdym dworem, chatą wieśniaczą,*
*I w dłonie klaszczą, tańczą a skaczą,*
*Więc wydobywa wesoło tony*

*Dla tej pragnącej muzyki rzeszy*
*I musi grywać zadowolony*
*Tym, że weselem innych ucieszy.*
*I codzień grajek wyrusza w drogę,*
*Chyląc pokrytą siwizną głowę,*
*Pod pachą dźwiga jedyne drogie,*
*Swe nieodstępne skrzypki lipowe.*
*Precz ból, żal, troska, zawód, znużenie,*
*Bo ludzie dadzą wszak pożywienie.*
*Byle grać tylko, jak oni każą!*
*Ujmuje skrzypki, głaska i stroi,*
*By dobrze brzmiała nuta dobrana,*
*Gdy zagra skocznie hożej dziewoi,*
*Zagra u chaty, lub dworu pana.*

. . . . . . . . . . .

*Sioła się skryły w śnieżystej bieli,*
*Na dworze smutno, ponuro, chłodno,*
*W biednej lepiance śpi na pościeli*
*Grajek snem wiecznym, z twarzą pogodną,*
*Próżno po pracy z daleka i z bliska*
*Na nutę jego czekają bratnią,*
*On w sztywnej dłoni swe skrzypki ściska,*
*Pociechę życia swego ostatnią.*
*Co miał, to stracił, wśród życia troski.*
*Grając spożywał czarny kęs chleba,*
*Bóg go powołał, siwy bard wioski*
*Poszedł grać Bogu do wyżyn nieba!*
*W dzień jasny, chłodny, przed pracą z rana*
*Smutni wieśniacy przy łożu stali,*
*W pokorze z żalem kłoniąc kolana*
*Wiejskiego grajka ciało żegnali.*
*Już go nie ujrzy dwór, kmiecia strzecha,*
*Nie przyjdzie zagrać do chaty w gości.*
*Usta się zwarły, zda się uśmiecha*
*Po raz ostatni śmiechem miłości!*
*Tam pod murawą, gdzie szum serdeczny,*
*Zawodzą brzozy wzniosłe, omszałe,*
*Grajka wiecznego spoczynek wieczny,*
*A krzyż na grobie wspomnienie całe.*
*Do grobu jego pod darń zieloną,*
*Spełniając wolę za pieśni bratnie,*
*Skrzypki i smyczek przy nim złożono,*
*Pociechy życia jego ostatnie.*

---

*Kto pragnie zostać popularnym, ten zwykle rozpoczyna od wyrzeczenia się sprawiedliwości.*

* * *

*Moralność młodzieży jest podstawą szczęścia narodów.*

* * *

*Kto duchem nie działa, tego duch Boży odstąpi.*

*J. I. Kraszewski.*

*Bez pragnienia, człowiek byłby bezczynnym i martwym; bez rozsądku, czyniłby źle i dobrze bez różnicy; bez cnoty, byłby myślącym głazem, pustelnikiem wśród zaludnionego świata.*

*Józef Supiński.*

* * *



**Mieczysławowa Duninowa.**

# Panna Mania.

Bajeczka dla dorosłych.

Chodźcie za mną, miłe czytelniczki, a zawiodę was do panieńskiego pokoiku. Jak w nim ładnie, prawda? Pełno słońca i kwiatów, jasnych barw i woni; istne gniazdeczko! Szczęśliwa i wesoła ptaszyna, która przebywa w tem gniazdku. Wszystko wokoło raduje się i weseli, tylko panna Mania, właścicielka uroczego pokoiku smutna i zmartwiona. Usiadła na niskiej kanapce, główkę jasnowłosą wsparła na biało-różowych piąstkach, i myśli, myśli...

Wczoraj była na balu. Ach! ileż to marzeń przesnuła przed tym wieczorem. Wiedziała, iż spotka tam pana Bolesława, doktora medycyny, na widok którego jej serduszko zawsze tak mocno, mocno biło; liczka zaś barwiły się jak róże. Czuła, że i ona nie jest obojętną dla pana Bolesława; czytała tyle razy w jego oczach zachwyt i miłość. Była pewną, że na balu, koniecznie na tym balu, przyjdzie ta urocza chwila, kiedy usłyszy maleńkie a słodkie słówko: „kocham“. Tymczasem... ach! lepiej nie myśleć! Taki był zimny, obojętny... Jednego walca tylko z panną Manią przetańczył, ale za to przez cały wieczór asystował tej grubej pannie Oldze, córce bogatego przedsiębiorcy.

„Taką Olgę — myśli panna Mania —zaszczyca swojemi względami.. Szkaradny pan Bolek... Czyż ona może porównać się ze mną? Nos ma jak ogórek; figurę, jak nieociosany pień. Ale jest bogata, prawda... Przecież i mój posag nie mniejszy, a że ładniejszą jestem, to każdy przyznać musi...“

Podniosła główkę, spojrzała w lustro obok stojące i z za łez uśmiechnęły się fiołkowe oczęta do odbitej postaci.

„Nie, nie będę więcej o nim myślała — powtarza panna Mania — nic mnie nie obchodzi, niech się żeni z kim chce, z panną Olgą i Różą, wszystko mi jedno. Nie kocham go; nie lubię, nie cierpię. Brzydki, nieznośny... Wszyscy mężczyźni nieznośni... Nikogo nie kocham, prócz mamy, tatka, starej mojej niani, Kostusi; za mąż nie wyjdę nigdy, nigdy; wstąpię do klasztoru.

I wzdychać zaczęło dziewczątko, tak ciężko i żałośnie, że aż kanarek, zawieszony w klatce u okna, przestał świergotać i ze zdziwieniem utkwił oczka czarne w swojej młodej pani.

Panna Mania pogrążyła się do tego stopnia w swoich myślach, iż nie słyszała jak drzwi się otworzyły i jak weszła stara jej piastunka, Kostusia.

„O, dla Boga — zawołała kobiecina — a to co się stało memu dziecku? Panienko złota, co tobie? Czy główka boli, że tak ją ściska rączkami?

„Cicho, cicho naniu, — odrzekła Mania — po wczorajszym balu jestem zmęczona i głowa mnie boli.“

„To pójdę do pani, niech pośle po doktora, może się mój gołąbek przeziębił. Ach te wasze bale. Tańczy to, męczy się, spoci, potem wyjdzie na ostry wiatr i zapalenie płuc gotowe. Biegnę do pani, niech posyłają prędko po lekarza, pan Bolesław mieszka niedaleko, to zaraz przyjść może i zaradzić.“

„Nianiu, nie idź, nic mi nie jest, jestem zdrowa, nie chcę żadnego doktora, nikogo, ani nawet pana Bolesława“ — woła Mania.

„Ani nawet pana Bolesława — mruczy piastunka — aha, teraz już Kostusia mądra i wie co to za choroba... Pewnie mojemu dzieciątku jaką krzywdę zrobili. No, no, ale ja już na wszystko poradzę,“ — a zwracając się do Mani, mówi:

„Niech mi panienka pozwoli dotknąć czoła. Ach! jakie gorące i rączki jak ogień. Proszę położyć się do łóżeczka, a ja przyniosę zaraz ziółek.“

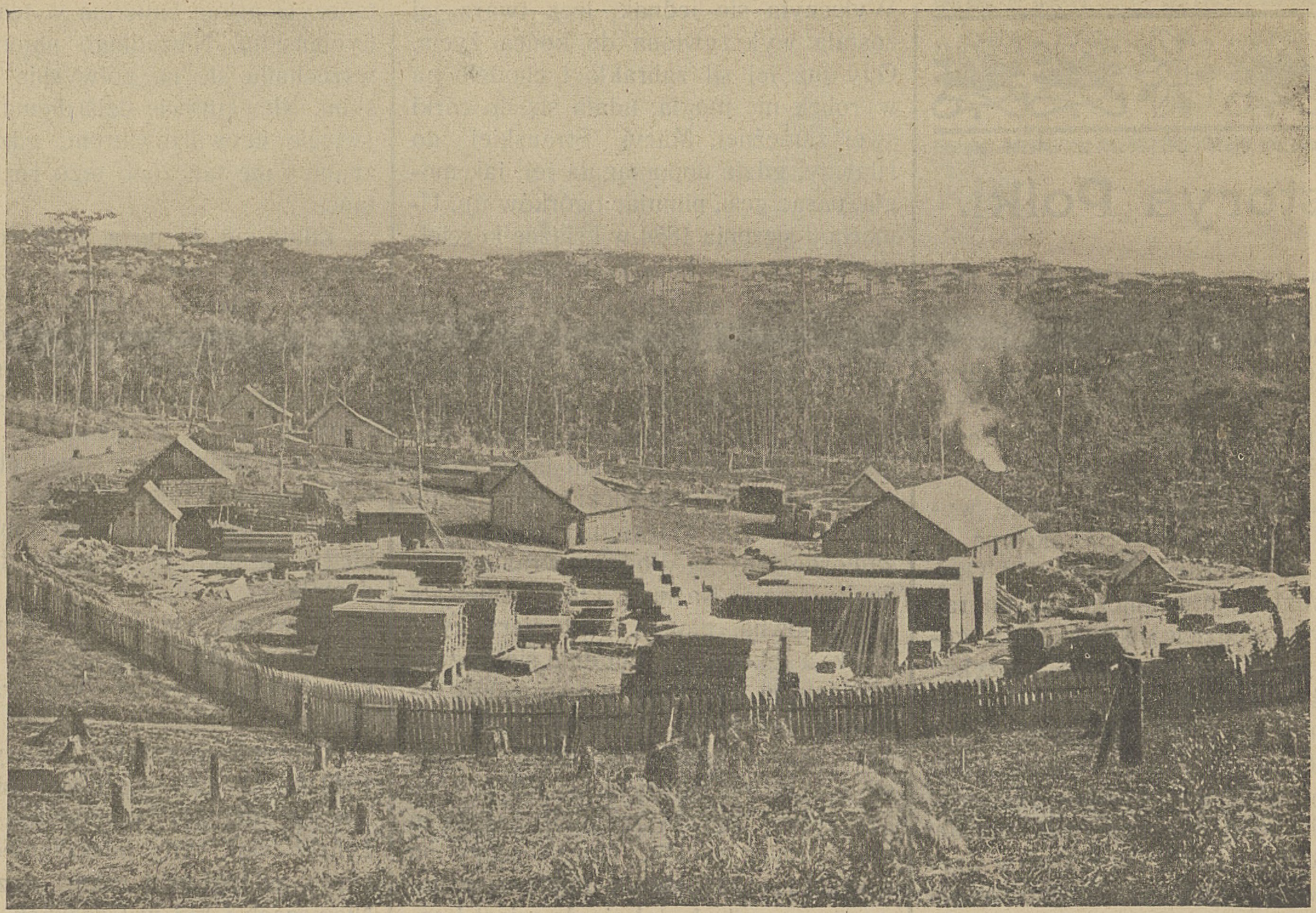
„Dobrze, nianiu, położę się — odrzekła Mania — ale ty nie odchodź, siądź na krzesełku i opowiedz mi jaką bajeczkę, wiesz, taką jak to za dawnych czasów, kiedy to byłam maleńka. Ale bajeczka musi być smutna, taka bardzo smutna. Bo mnie, nianiu, źle na świecie, ja pójdę do klasztoru.“

„A słowo stało się Ciałem!“ — zawołała Kostusia — „mój kwiatek do klasztoru!“

„Tak, nianiu, do klasztoru, ale nie mówmy teraz o tem, bo główka boli; no, zaczynaj bajeczkę.“

Stara piastunka ułożyła Manię w białem łóżeczku, sama usiadła obok i takie zaczęła opowiadanie:

„Była raz jedna panienka, ładna i mądra, ale biedna. Nazywała się Józia. Każdy zachwycał się jej pięknością, chwalił mądrość, podziwiał cnoty, ale o małżeństwie z nią nikt nie myślał, gdyż nie miała majątku. Mijał rok po roku. Smuciła się biedna panna, że nie może znaleźć męża. Miała ona starą ciotkę, która jej poradziła, aby kupiła figurkę św. Józefa i odprawiła nowennę, a z pewnością zostanie wysłuchaną.



**Widok tartaku parowego w okolicy Kurytyby (Brazylia.)**

Józia usłuchała rady ciotki; kupiła figurkę, przybrała kwiatkami i przez ośm dni zasyłała gorące modły. Po skończeniu nowenny była pewna, iż teraz zjawi się oczekiwany mąż. Ale cóż? Przeszedł jeden tydzień, drugi, trzeci; ubiegły dwa miesiące, a męża jak nie było, tak niema. Józia niecierpliwiła się coraz więcej; pewnego dnia dowiedziała się, że jej znajoma, stara i brzydka wyszła za mąż. Wtedy jej niecierpliwość zamieniła się w złość. Porwała figurkę św. Józefa i wyrzuciła ją przez okno. Ulicą przechodził właśnie młody człowiek, którego spadająca figurka ugodziła w głowę, raniąc boleśnie. Józia wyjrzała oknem, chcąc wiedzieć, co się stało z figurką, ale jakżeż okropny widok przedstawił się jej oczom! Oto na chodniku leżał człowiek ze skrwawioną głową, otoczony gromadką ludzi. Józia zbiegła prędko na dół; przy pomocy innych podniosła nieznajomego z ziemi i zaprowadziła do mieszkania, jakie zajmowała z matką. Młody człowiek musiał przeleżeć dni parę, pielęgnowany przez Józię, która w ten sposób starała się naprawić popełnioną winę; była przytem taka pełna słodyczy i poświęcenia, iż młody pan zakochał się w niej na zabój, a przyszedłszy do zdrowia, poprosił o jej rękę i za parę miesięcy pojął za żonę. Św. Józef pozostawał u Józi w szczególniejszej czci i adoracyi, gdyż wysłuchał jej prośb. Bajeczka skończona. Tak, tak, panienko, najlepiej zawsze w każdym smutku pomodlić się szczerze, a radość nastąpi.“

Mania leżąc na łóżeczku przymknęła oczy, a stara niania myśląc, że usnęła, cichutko wyszła z pokoiku.

„Poczciwa niania, ona mnie w tej bajce dawała rady — mówi do siebie Mania — tutaj już i nowenna nie pomoże. Zresztą mnie pan Bolesław już nic nie obchodzi. Nigdy nawet na niego nie popatrzę. Nigdy... Tylko jeszcze jeden, jedyny raz. Prawda, mam jego fotografię, spojrzę po raz ostatni...“

Prędko zerwała się z łóżka; pobiegła do biurka i odsunąwszy jedną szufladkę, wyjęła z niej fotografię, oprawną w ramki złocone.

Fotografia przedstawiała młodego, bardzo przystojnego mężczyznę, o ślicznych oczach. Manię na ten widok ogarnęła najprzód ogromna żałość, a następnie w duszyczce zapalił się gniew.

„Niemądra była ta Józia, iż stłukła niewinny posążek; ja nie będę się modliła, a później wyrzucała figurki, lepiej ciebie, nieznośny obrazku, zniszczę, abyś już nie mącił mi myśli i nie ranił serca.“ I z całą siłą uderzyła ręką w szkło, przez które patrzyły na nią śliczne oczy Bolka.

W tej jednak chwili bolesny krzyk wyrwał się z piersi Mani. Kawałek szkła utkwił w delikatnej rączce.

„Mamo, nianiu, ratujcie!“ — krzyczy Mania, a krew spływa z dłoni.

Przybiegła mama i Kostusia; lament, płacz... Posłano po doktora. Po chwili zjawił się pan Bolesław i zabrał się do oglądania rączki!

Mama nie chciała patrzeć na bolesną operacyę; Kostusia wyszła po wodę; młodzi zostali sami.

Doktor ujął dłoń Mani i powiedział:

„Uleczę rączkę, ale pod warunkiem...“

„Pod jakim?“ — pyta Mania.

„Jeśli ta rączka będzie moja.“

„Ach!“ — westchnęła Mania.

„Kocham“ — mówi pan Bolesław

„Kocham“ — szepce cichutko Mania.

Bolała dłoń, kiedy doktor wyciągał szkła kawałki, ale miłości pełne spojrzenia, któremi pan Bolesław ogarniał Manię, osładzały cierpienia.

Po zabandażowaniu ręki, odszedł młody lekarz; Mania pobiegła do swego pokoiku, wzięła wzgardzoną fotografię i patrząc na umiłowaną twarz wyszeptała:

„Kochany, dobry pan Bolek, bo — wyleczył mi rękę...“

. . . . . . . . . . .

Ja zaś sądzę, że dobry i kochany dlatego, że uzdrowił zarazem i serduszko.

Czyż nie prawda — miłe czytelniczki?

# Historya Polki.

Polka (mowa tu, oczywiście o tańcu), pomimo swej nazwy, nic wspólnego ani z polskością, ani z Polską niema. Opierając się na doskonałej broszurze czeskiej dr. Ziberta oraz na jej streszczeniu przez Br. Grabowskiego, kreślimy poniżej historyę tego tańca.

Powszechnie sądzą, że polkę wynalazła służąca, Anna Slezakówna w miasteczku Labska Tynica, w Czechach. Miała ona zatańczyć ją po raz pierwszy w niedzielę po południu w gospodzie przed zebraną „na muzykę“ młodzieżą“. Sam dr. Zibert był tego mniemania, ale z wiarogodnych źródeł otrzymał odpowiednie sprostowanie tak, iż w dziele swem podaje historyę powstania polki w następujący sposób.

W Kostelcu nad Łabą (Elba) w Czechach około r. 1830 żyła bardzo wesoła dziewczyna, przepadająca za śpiewem i tańcem. Nazywała się Anna Chadimówna i była córką właściciela gospody w Petrowicach pod Sedlczanami, a urodziła się 11 lipca 1805 r. Rodzice jej musieli nie być majętni, gdyż Anusia przyjęła służbę u krewnego swego, piwowara Kohouta, i z nim razem dostała się do Kostelca. Po jego śmierci służyła u mieszczanina J. Klaszterskiego i u niego to właśnie wynalazła polkę.

Jak opowiada naoczny świadek, syn Klaszterskiego, jednego dnia w niedzielę po południu, Anusia, przyśpiewując sobie, tańczyła na podwórzu jakiś taniec nieznany. Cały dom z podziwieniem podglądał na te pląsy i niemniej dziwił się śpiewowi, a młody nauczyciel elementarny, Józef Neruda, uczący dzieci Klaszterskiego gry na fortepianie, zapisał melodyę. W tydzień potem studenci i młodzież miejska urządzili zabawę taneczną i na nią zaproszono wynalazczą służącą. Melodyę zagrała kapela w gospodzie, a chłopcy i dziewczęta, nauczeni nowego tańca, ochoczo puścili się w pląsy. I tak polka otrzymała prawo obywatelstwa w świecie zabawy i wesela. Studenci zanieśli ją potem do Pragi, gdzie nowy taniec polką nazwano.

Dziwnie smutne były potem losy wynalazców polki. Anna Chadimówna wyszła za mąż za Wacława Slezaka i razem z nim zamieszkała we wsi Konietopach, gdzie oboje zarabiali na kawałek chleba, chodząc na wyrobek. Slezak umarł w Pradze w szpitalu na raka w twarzy, Annę zaś raziła apopleksya. Wyleczyła się jednak, lecz twarz jej została wykrzywioną do końca życia. Gdy już jej sił zabrakło i chodzić na wyrobek nie mogła, udała się do córki swej zamężnej, Maryi Stranskiej do Hlawny, gdzie dopomagała jej, jak mogła, pasąc gęsi, pilnując ogórków itp. Umarła 3 sierpnia 1884 w książce kościelnej zapisano ją jako żebraczkę.

Niemniej smutnie zakończył życie Jan Neruda. Był on tylko o rok starszy od Anny Chadimówny. Nauczycielstwem trudnił się do 69 roku życia, gdyż dopiero r. 1873 dano mu emeryturę. Należy się domyślać, że miał jakiś grosik zaoszczędzony, albowiem w niecałe trzy lata potem (6 kwietnia 1876) został zamordowany w Wodolce wraz z małżonką swoją. Na nutę, którą śpiewała Chadimówna, ułożył kilka pierwszych polek, a rękopis ich znajduje się jeszcze w Kostelcu nad Łabą u burmistrza tamecznego, Stierby. To powstanie nowego, a wkrótce ulubionego tańca, wydało się czemś tak dziwnem, że już r. 1840 Franciszek Doncha twierdził, że jest to stary taniec wiejski, dawno znany po siołach czeskich, który dopiero w naszych czasach dostał się do miast i salonów pańskich. Nazwę polka tłómaczono, że jest to taniec „na polo“, t. j. połowiczny, na połowicznem tempie oparty. Niemiec Fähnrich w wywodzie etymologicznym zapędził się tak daleko, że wyprowadzał nazwę tę od pole, a zatem polka miała znaczyć „Feldtanz“.. taniec polowy.

Polka stała się niebawem w Pradze ulubionym tańcem salonowym, a za przykładem Pragi tańczono ją prawie po wszystkich miastach czeskich. Kapelmajstrowie czescy byli apostołami nowego tańca i na obczyznie. Do Wiednia zaniósł ją r. 1839 Pergler i weseli Wiedeńczycy niezmiernie sobie polkę upodobali. Raab, nauczyciel baletu w Pradze, powędrował z nią r. 1840 do Paryża, gdzie wystąpił w rolach gościnnych w teatrze Ambigu. Taniec „polka“ zrobił furorę, Raaba wydzierano sobie, musiał wszędzie uczyć panny i panie. Za jego przykładem pojawili się osobni „profesorowie“ polki, Francuzi, i ci mieli ogromne powodzenie. Jeden z nich, Perrot, zawiózł ją do Londynu i w Anglii wkrótce stała się ulubionym tańcem. Szerzyła się po Niemczech, trafiła do Ameryki. Pisma czeskie z uniesieniem rozpisywały się o tryumfach polki, którą słusznie nazywały swym tańcem narodowym. Z niesłychaną radością donosiły czytelnikom, że 26 maja 1845 roku tańczono ją u gubernatora w Kalkucie na balu, wydanym na cześć królowej angielskiej.

Włosi zapoznali się z polką dopiero roku 1859, gdy ją po raz pierwszy zatańczyła prima ballerina w teatrze medyolańskim. Niezadługo potem rozpowszechniła się na półwyspie Appenińskim. Niewątpliwie dziś niema kraju w świecie ucywilizowanym, gdzieby nie znano i nie tańczono tego rozkosznego tańca.

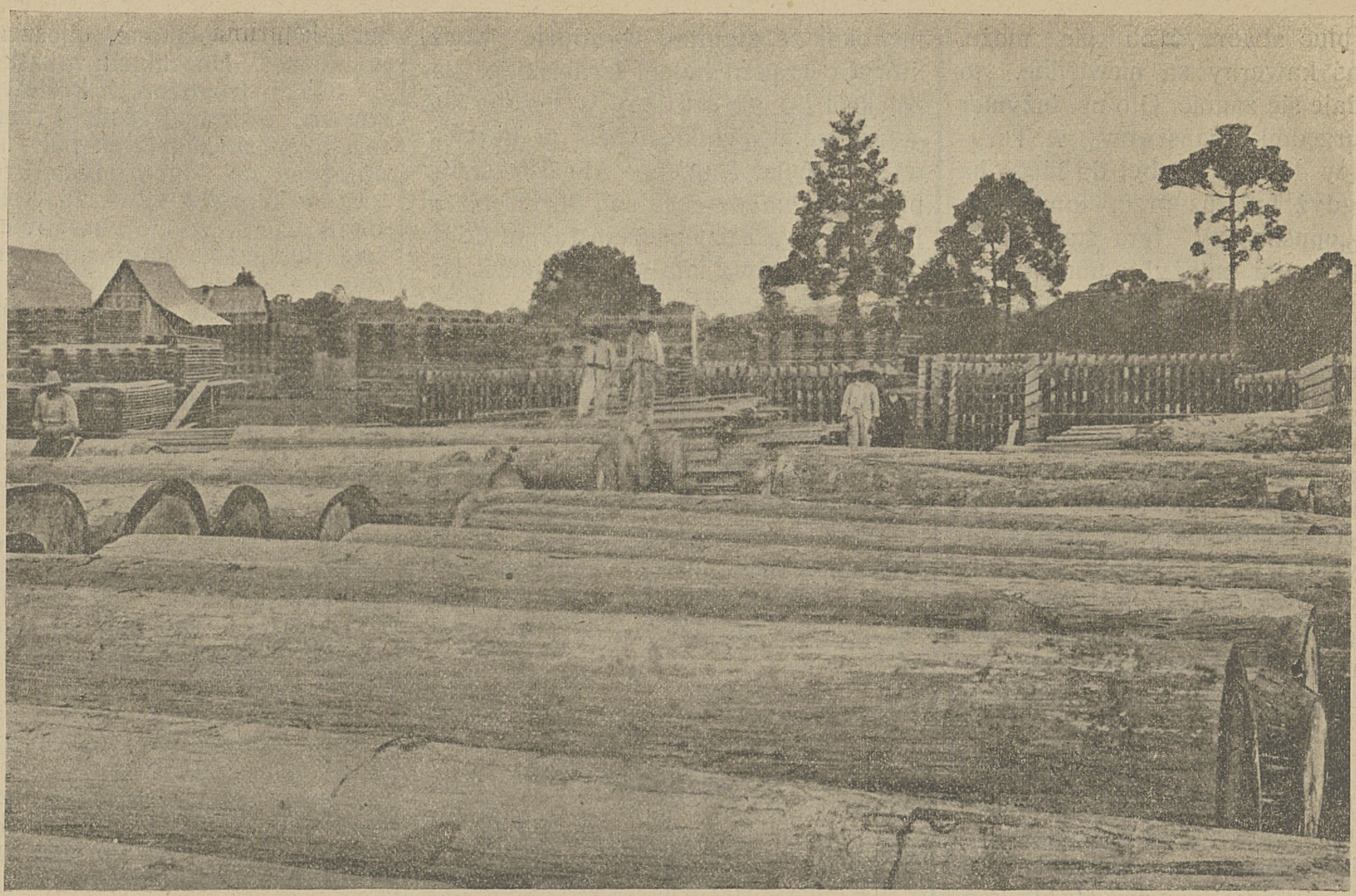
Zdaje się, że po r. 1840 polka dostała się do naszego kraju, gdzie bardzo prędko stała się ulubionym tańcem salonowym i z czasem przeniknęła aż do szynkowni i gospód po miastach i miasteczkach. Po karczmach wiejskich jest rzadkim chyba gościem, bo naszemu ludowi sielskiemu własnych pląsów rodzinnych nie brakuje. Może ktoś z żyjących jeszcze przypomni sobie i nam, kiedy i w jaki sposób polka do nas się dostała.

Zjawienie się jej w Petersburgu związanem jest z nazwiskiem słynnego kompozytora naszego, Wiktora Każyńskiego.

Czasopismo czeskie „Kvety“ z r. 1842 (n. 5) tak o tem donosi: „Znakomity muzyk i kompozytor, pan Każyński (sic), stały mieszkaniec Petersburga, podróżował roku zeszłego po Niemczech i był w Czechach, gdzie na miejscu poznał ducha muzyki tańca narodowego czeskiego, polki, napisał też kilka polek, całkiem w stylu słowiańskim i czeskim. Owe polki Każyńskiego są tak pisane w duchu poezyi narodowej, jak mazurki Chopina; rzeczywiście mazurka i polka są rodzonemi siostrami i mają jednakowy charakter“ Gazecie czeskiej bardzo słusznie nie podobają się tytuły niemieckie, które Każyński ponadawał swym utworom, nazwawszy je Amata-Polka, Petersburger-Polka, Eleonoren-Polka, Marien-Polka itd. Jak szczęśliwy miała pomysł prosta dziewczyna czeska, świadczy nietylko rozpowszechnienie samego tańca, ale i przerażająca mnogość melodyi, które się z tego jednego wątka snują. Zdaje się, jak gdyby pomysłowość kompozytorska na temat polki była niewyczerpaną.

W każdym kraju wysilano się na taką obfitość kompozycyi polkowych, że już prawie tytułów nie starczyło. Kompozytorowie czescy łączyli tytuł „polki“ z najrozmaitszemi imionami kalendarzowemi, chrzcili je nazwami miast i okolic. Dr. Zibert przytacza nawet „Kochankę-polkę“, poświęconą pięknej „Polaczce“. I sam taniec podległ rozmaitym zmianom i modyfikacyom, nad czem głowę sobie łamali ku pożytkowi nóg mistrzowie taneczni paryscy.

Ze zwykłej polki powstały polka-szotyszka, polka-węgierka, polka mazurka, polka-galopka itp.



**Olbrzymie świerki parańskie (Pinjory) na placu przed tartakiem.**

## Nowa metoda leczenia suchot.

Wielkie wrażenie wywołały we Włoszech prelekcye profesora Forlanini'ego o nowej metodzie leczenia gruźlicy. Twierdzi on, że jest błędem mniemanie, iż bakcyl Kocha zabija suchotników; zabija ich jamy, powstające w płucach, pełne gnijącej materyi ropnej, tworzącej ciągłą gorączkę. Trzeba więc nie dopuszczać do tego, żeby owe jamy (kawerny) się tworzyły. Zamiast to czynić, lekarze wysilają się na zabijanie laseczników Kocha. On zaś, Forlanini, zupełnie o laseczniki nie dba, a nie dopuszcza do tworzenia się jam. Jakże to robić? Posłuchajmy jego wywodów:

„Lasecznik Kocha jest w stanie co najwyżej wywołać skaleczenia pierwotne powierzchni płucnej, skaleczenia koniec końcem wcale nie niebezpieczne, podobne do tych, jakie pospolicie bakcyle pasożytnicze wywołują w rozmaitych naszych organach i tkaninach. Natomiast te skaleczenia poważne, bardzo szkodliwe i bardzo niebezpieczne, które powstają w płucach w ciągu dalszego rozwoju gruźlicy, nie zależą już od działalności lasecznika Kocha, ale są następstwem działalności samych płuc. Pamiętać bowiem o tem potrzeba, że płuca wskutek obowiązku odgrywania roli organu oddechowego, ciągle się rozszerzają i ściągają a wskutek tego tkanina płuc ulega nieustannie zmianom w natężeniu, w napięciu, zmianom, którym w tym stopniu nie podlegają żadne inne tkaniny w naszym organizmie. Otóż właśnie te ciągłe zmiany w fizycznym stanie tkaniny płucnej, to ciągłe wyprężanie się i skurczanie jej, wywołuje owe szkodliwe dla płuc i charakterystyczne uszkodzenia, jakie w nich powstają, jeśli już się w nich zagnieździł lasecznik Kocha, a które wcale nie powstają w innych organach naszego ciała pod wpływem tego lasecznika. Cóż zrobić, żeby tym uszkodzeniom zapobiedz? Oto dość znieść owe zmiany w naprężeniu tkaniny płucnej, dość unieruchomić płuca. Bo zważmy: płuco zarażone już gruźlicą, chore i pokaleczone, oddycha dalej, jak gdyby nic, rusza się, wypręża, kurczy, no, i oczywiście wszystkie skaleczenia rozrania coraz bardziej, z małych ranek robiąc wielkie, z małych zadraśnięć olbrzymie rozdarcia i tym sposobem psuje się coraz szybciej. Gdy natomiast, jeżeli mu zabronimy ruszać się, a więc oddychać, to w parę tygodni, a nieraz w parę dni wygoi się zupełnie, a wygoiwszy się, usunie samo laseczniki Kocha."

Leczenie gruźlicy powinno więc polegać na unieruchomieniu płuc. Jednakże, jak płuco unieruchomić? Oto w ten sposób, że Forlanini wprowadza do niego sztucznie przez tchawicę tyle czystego i bogatego w tlen powietrza, iż przezwycięża prężność tego powietrza, które płuco ma wydychać; wskutek tego odbywa się na powierzchni wymiana kwasu węglowego na tlen, ale płuco się nie rusza; rusza się tylko instrument, czyli ta pompa, która czyste powietrze do płuc wprowadza, a złe wyprowadza. Operacya ta nie jest wcale ani ciężką, ani trudną i chorzy ją znoszą doskonale, nawet w nocy śpią z tym instrumentem w ustach lub w nosie. Ale, aby nauczyć się operować tym jego przyrządem, powinni — jak to wyraźnie podniósł profesor Forlanini — lekarze przyjechać do niego, do Medjolanu i u niego na klinice, pod jego okiem, nauczyć się zakładania go w ruch. Teoretycznie nie da się to opisać.

Na swoich publicznych odczytach w Medyolanie przedstawił prof. Forlanini kilku już zupełnie wyleczonych pacyentów. Zauważył jednak, że pamiętać należy, iż są pewne granice jego kuracyi. Więc przedewszystkiem jedno z dwóch płuc powinno być zupełnie zdrowe lub mało zaatakowane, gdyż podczas unieruchomienia chorego płata płuc, musi ono podwójnie pracować. Następnie trzeba, żeby chory płat płuc nie był zupełnie zgniły, nie tworzył już wielkich jam (kawern) i rozpadlin, bo

nowych płuc stworzyć on nie może. Jeżeli zaś kawerny są niewielkie, to nieraz udaje się zagoić. Oto np. inżynier Ivo L., urzędnik państwowy w Turynie, liczący 47 lat, przybył do niego na klinikę, gdyż był już przez turyńskich lekarzy „opuszczony“ (era stato spacciato). Forlanini założył pompę i wydobył z jego płuc dwa litry cuchnącej materyi, będącej w stanie rozkładu i pełnej laseczników Kocha. Wypłukiwania okazały, że jamy są nietylko w lewem, ale i w prawem płucu. Chory gorączkował ciągle, apetytu nie miał żadnego, sił wcale. Zaczęła się kuracya zaraz i trwała dwa lata. Po dwóch latach inżynier wrócił do służby państwowej i żył jeszcze sześć lat. Umarł na zapalenie płuc w zeszłym roku, a sekcya dokonana przez turyńskich lekarzy, skonstatowała, że oba płaty płuc były zupełnie zdrowe.

Pani R. z Pawji przybyła na klinikę 6 kwietnia 1907. Miała lewe płuco bardzo zaatakowane, prawe cokolwiek. Po dziesięciu dniach ustała zupełnie gorączka i już więcej nie wróciła do końca kuracyi. Pani ta jest zupełnie zdrowa i śladu gruźlicy nie ma.

Pani L., trzydziestoletnia nauczycielka, przybyła na klinikę w opłakanym stanie. Gorączka w wysokim stopniu, wychudzenie organizmu straszne, ciągłe plucie krwią, oba płaty zaatakowane. Z początku profesor wahał się, czy stosować do niej swą metodę, bo bał się skompromitowania metody. Ale po namyśle powiedział sobie, że przecież szkoda biednej kobiety i zaczął leczyć. Po dwóch miesiącach chora zaczęła zyskiwać na wadze, nie ma nigdy gorączki, jest jeszcze na klinice i istnieje coraz więcej prawdopodobieństwa, że się wyleczy.

P. M., urzędnik telegrafu, przestał gorączkować i pluć krwią po dwóch dniach kuracyi.

## Nasze ryciny.

### W drodze do Egiptu.

Król żydowski Herod, zwany Wielkim, panował od roku 40 przed Chrystusem; był on człowiekiem bezwzględnym i okrutnym. Kazał stracić żonę, dwóch synów i wielu krewnych. Jako król, podległy Rzymianom, okazał wiele przebiegłości, utrzymał się w łasce rzymskich cesarzów, z której korzystając zakładał miasta w Judei, odbudował świątynię w Jerozolimie i t. d. Za panowania Heroda narodził się Zbawiciel świata, Jezus Chrystus. Kiedy Herodowi doniesiono, że „przyszło na świat dziecię w Betleem, o którem napisano przez proroka, że ztamtąd wynijdzie wódz, któryby rządził ludem Izraelskim,“ kazał król — jak czytamy w Piśmie sw. — „pobić wszystkie dzieci w Betleem od dwóch lat i niżej.“ Ale ostrzeżony przez Anioła we śnie św. Józef, uszedł już z Maryą i dziecięciem razem do Egiptu. We dwa lata później umarł Herod. Syn jego Herod Antipas kazał ściąć głowę św. Janowi Chrzcicielowi. Było jeszcze kilku Herodów władcami Judei.

Legenda ozdobiła ucieczkę i pobyt św. Rodziny w Egipcie różnemi wydarzeniami, które malarze-artyści przedstawiają na obrazach w różny sposób. Nasza piękna albumowa rycina „W drodze do Egiptu“ obrazuje znakomicie odpoczynek św. Rodziny. Typy są wyborne.

* * *

### Widoki z Brazylii.

Dając dzisiaj cztery widoki z Brazylii, odsyłamy Szanownych Czytelników po bliższe szczegóły o tym ogromnym kraju, tak wielkim, jak cała Europa, położonym w Ameryce Południowej, do artykułu, zamieszczonego z rycinami w kilku zeszytach w zeszłorocznym, drugim kwartalniku „Pracy“ p. t. „Brazylia w dzisiejszym stanie.“

## Wiadomości.

* **Odebraliśmy z różnych stron jeszcze po Nowym Roku od Czytelników liczne życzenia noworoczne, więc składamy za nie ponownie skromne, ale serdeczne: „Bóg zapłać!“**

**Również gorące słowa uznania dla naszego pisma przyjęliśmy z wielkiem zadowoleniem.**

**Szczęść Boże w Nowym Roku Czytelnikom, Przyjaciołom i Zwolennikom „Pracy.“**

**Redakcya.**

**Odezwa!**

„Błogosławieni miłosierni,
albowiem oni miłosierdzia dostąpią.“
Św. Mat. 5. 7.

Bodaj czy smutniejsze kiedy społeczeństwo nasze przechodziło chwile. Po jęku matek i płaczu dziatek naszych jak miecz Damoklesa wisi nad nami groza wywłaszczenia i jako byśmy już słyszeli proroczy Jeremiasza płacz: „Płakać będzie ziemia!“ — Wolno było płakać Jeremiaszowi nad rzekami Babilońskiej ziemi nad upadkiem swojej ukochanej Jerozolimy i wolno nam nad resztkami naszej polskiej ziemi płakać. Ale nie wolno nam zwątpić! Dla tego my znów z Jeremiaszem wołamy: „Jeśli cię zapomnę Jeruzalem, niech zapomniana będzie prawica moja. Niechaj przyschnie język mój do podniebienia mego, gdybym na cię nie pomniał.“ (Ps. Jer. 136. 1.)

Wszędzie zawisł smutek nad polską ziemią, ale są zakątki ziemi naszej, szczególnie opłakane, opuszczone, zapomniane. Do takich zakątków należy miasto Rogoźno, z królów polskich sławne, prastary gród Przemysława, miasto polskie, dziś na pół zniemczałe, położone na zagrożonych kresach, otoczone prawie zewsząd kolonizacyą. Bogu dzięki, życie narodowe w mieście się budzi. Obywatele nie chcą zapomnieć swego Jeruzalem, biorą się rączo do dzieła, do pracy zbiorowej.

Niestety, niema środowiska do tej zbiorowej narodowej pracy. Towarzystwa nie mają gdzie swej głowy skłonić, dziatki nasze o mrozie i chłodzie uczyć się muszą katechizmu. Jeden jęk, jedno wołanie przeciągłe:

„Sali nie mamy własnej!“

Ksiądz proboszcz Gapczyński przyszedłszy do parafii naszej, odrazu odczuł tak dorażnie potrzebę Domu katolickiego; począł składki zbierać, lecz napotkał na szkopół: na biedę w parafii.

Księdzu Proboszczowi przyszli w pomoc ludzie dobrej woli oraz wszystkie Towarzystwa tutejsze polskie jednocząc się z nim w „Towarzystwo obywateli w obrębie parafii katolickiej w Rogoźnie,“ którego głównym celem jest zbieranie składek na budowę własnej sali.

Towarzystwo powyższe apeluje do serc litościwych i do bratnich Towarzystw o ratunek. „Pomoc dajcie nam rodacy, bo okrutny los nas nęka!“

Apeluje do serc w imieniu najświętszych uczuć naszych, w imieniu najdroższych skarbów naszych narodowych, w imieniu miłości ojczyzny. Każdy grosz to będzie cegiełką do budowli środowiska życia religijnego i narodowego w grodzie Przemysława, i dla obywateli zachętą, by na kowadle pracy wykuwać sobie lepszą przyszłość.

Wszelkie, choć najmniejsze datki prosimy przysłać na ręce skarbnika, p. Franciszka Koczorowskiego w Rogoźnie (Rogasen, Bez. Posen).

Rogoźno, w grudniu 1908.

Z p. Ks. pr. Gapczyński. Dr. Wysocki. Koczorowski. Tatarek. Pawłowicz.

* **Wystawa łowiecka.** Skutkiem niedostatecznego udziału ze strony przemysłu i kupiectwa naszego, wystawa łowiecka jako ogólna jest zagrożoną, a przynajmniej zachodzi obawa, że nie spełni oczekiwania, jakie mieć można do ogólnej wystawy łowieckiej.

W tym celu postanowił komitet wystawy przedłużyć jeszcze raz termin zgłoszenia się dla wszystkich oddziałów do 31-go stycznia p. r. chcąc dać tym sposobem możność wystawienia tym jeszcze, którzy przez niezrozumienie może, jakie okazy do wystawy takiej należą, zgłoszeń dotychczas nie nadesłali.

Wymieniamy przeto te artykuły, które dotąd wcale lub w niedostatecznej mierze są reprezentowane:

1) Łapki, żelaza, samotrzaski.
2) Sieci i płaty (fladry.)
3) Rogi, trąbki, świstawki i wabiki wszelkiego rodzaju.
4) Optyka: szkła, lunety, binokle prysmatyczne, okulary myśliwskie.
5) Do ubioru myśliwskiego należą-

ce artykuły jako to: dery, czapki i kapelusze, płaszcze i futra, kurtki i litewki, bielizna i obuwie.

6) Kandelabry, świeczniki, kałamarze i t. p. artykuły, ozdobne w rogi lub inne trofea myśliwskie.

7) Biżuterya mająca za ozdobę motywa myśliwskie.

8) Ilustracye (drzeworyty) jako i wszelkie odbitki litograficzne z treścią myśliwską.

9) Książki i wydawnictwa łowieckie.

10) Pocztówki i listowe papiery z inicyałami łowieckiemi.

11) Zwierzęta preparowane resp. modelowane, wykonane przez zakłady dennoplastyki.

Korzyści z wystawy tak niezwykłej a pierwszej u nas, którą się interesują najszersze koła obywatelskie i biorą w niej udział, są tak oczywiste, iż chyba tylko zupełne niezrozumienie interesu spowodować może do usunięcia się od wystawy przemysłu naszego i kupiectwa.

Wystawa potrwa dziewięć dni w marcu r. p. podczas walnego zebrania rolniczego i urządzoną zostanie w centrum miasta.

Można się więc spodziewać niezwykle licznego zwiedzenia inteligencyi i zamożnych kół naszego społeczeństwa tej pierwszej wystawy łowieckiej a korzyści, dla przemysłu ztąd wynikłe, narzucają się same przez się.

Z przyjemnością możemy interesującym się na tem miejscu zakomunikować, iż okazy do oddziału trofeów myśliwskich i sztuki nadeszły tak liczne, że wystawa zapowiada się okazale. Aby wszakżeż wszystkim jeszcze dać sposobność do wzięcia udziału, rozszerzamy czas zgłoszenia się i na te dwa oddziały do 31-go stycznia p. r.

Na ogólne życzenie znosimy też postawiony warunek, nie dozwalający premiowania trofeów poprzednio na innych wystawach odznaczonych.

Formularze do zgłoszeń wysyła p. Wład. Janta Połczyński — Rеdgoszcz p. Rombschin.

Wszystkie polskie pisma prosimy o powtórzenie niniejszej odezwy.

*Wydział Towarzystwa Łowieckiego i Komitet wystawy.*

* **Odezwa. Parę set dzieci polskich** pochłania fala germanizacyi corocznie w Sopotach, ponieważ nie ma tam w kościele katolickim ani nauki, ani modlitwy, ani śpiewu polskiego, ponieważ przygotowanie dzieci kaszubskich do sakramentów św. odbywa się tam li tylko w języku niemieckim. Wszelkie zaś prośby parafian sopockich

**o pacierz polski,**

powtarzane kilkakrotnie w przeciągu lat ostatnich, pozostawia władza biskupia dyececzyi chełmińskiej bez odpowiedzi. Na próżno przedstawiono w nich niski poziom moralny u znacznej części polskich parafian. Na próżno powoływano się na przerażający fakt, że przy sądzeniu ostatniego morderstwa, popełnionego w Sopotach przed kilku laty, z pomiędzy czterdziestu świadków zaledwie paru można było przesłuchać bez pomocy tłomacza. A przecież parafia sopocka liczy najmniej dwa tysiące kaszubskich dusz. Więc straciwszy nadzieję uzyskania czegośkolwiek od władz kościelnych, zamierzamy stworzyć sobie sami trwały przybytek polskiej moralności przez zbudowanie domu katolickiego. Kierownictwo tej czynności ratunkowej objęło założone przez patronat związku miejscowe towarzystwo ludowe, i jako jedyny organ, powołany do działania w tej sprawie,

**zanosi gorącą prośbę do kobiet polskich.**

Nadchodzi teraz pora zabaw. Pamiętajcie przy nich o duchowej nędzy polskich dzieci w Sopotach! Zbierajcie dla otulenia jej składki i odsyłajcie do Banku Związku Spółek Zarobkowych w Poznaniu!

Wszystkie pisma polskie prosimy o powtórzenie niniejszej odezwy i o pomoc w zbieraniu składek.

*Towarzystwo ludowe w Sopotach*
*Zarząd:*
*H. Piechowski, Józef Littwin, A. Chmielewski.*

* **Dla biednego weterana** z roku 1863-go nadesłali w dalszym ciągu do dnia 2-go b. m. włącznie pp. M. Fibach z Krotoszyna 3 mrk., Szaradowski z Zalesia 2 mrk. Razem odebraliśmy (z poprzedniemi) na cel powyższy 19 mrk. 50 fen. Kwotę tę doręczyliśmy komu należało.

## Nekrologia.

† **Ś. p. Marya Brejska,** druga żona posła Jana Brejskiego, zmarła w niedzielę, dnia 27-go z. m. po długich cierpieniach płucnych na wybudowaniu starogardzkiem, gdzie ostatnie dwa lata spędziła przeważnie pod troskliwą opieką matki i siostry. Ani powietrze wiejskie, ani dwukrotny dłuższy pobyt w sanatoryum dr. Dłuskiego w Zakopanem nie zdołały powstrzymać rozwoju zabójczej choroby. Zmarła, jako gorąca Polka, była aż do ostatniej chwili życia światłą i przezorną doradczynią męża. Pozatem całym jej światem były dzieci, którym była najlepszą matką i nauczycielką. Osierociła ich czworo w wieku od trzech lat do dziesięciu. — **Ś. p. Witold Sokolnicki,** Sodalis Marianus, dnia 26-go z. m. w Poznaniu, przeżywszy lat 53. — **Ś. p. Władysław-Leopold Jastrzębiec-Baliński,** były właściciel ziemski z Królestwa Polskiego, późniejszy rządzca gospodarczy pod zaborem pruskim, zmarł nagle w Poznaniu, dnia 15-go z. m. — **Ś. p. Jan Hilary Biernacki,** dnia 26-go z. m. w Poznaniu, licząc 49 lat. — **Ś. p. z Lossowów Telesforowa Bronikowska,** dnia 25-go z. m. w Lesznie. — **Ś. p. Magdalena Palacz z domu Łagoda,** dnia 29-go z. m. w Wielkiem pod Sadami, przeżywszy lat 64. — **Ś. p. Jadwiga Bieńkowska,** dnia 29-go z. m. w Poznaniu. — R. i. p.

## Od Redakcyi.

— **Panu J. D. w M. G.** — 1) Zapytaj się Szan. Pan w księgarni A. Niemierkiewicza przy placu Wilhelmowskim. 2) Informacya z książki adresowej miasta Poznania: przyjmuje przed południem od 10—11-tej, po południu od 3—5$^1/_2$ godziny.

— **Panu Ed. N. w Buer (Westfalia).** — Powieść ta nie wyszła w osobnej odbitce. Miejsce zamieszkania autora jest nam nieznane.

— **Panu Józefowi Tr. w Br. Gr.** — Bank Przemysłowców.

— **Panu G. w Jutrosinie.** — Nie posiadamy; możesz Szan Pan nabyć za pośrednictwem księgarń poznańskich.

— **Panu Józefowi Gr. w Berlinie.** — Dziękujemy za łaskawą pamięć, ale na razie jesteśmy zaopatrzeni.

## Kalendarzyk historyczny.

Dnia 10-go stycznia 1529 sejm w Piotrkowie przyjmuje ustawę dla sądów pruskich. — 1677 otwarcie sejmu w Warszawie. — 1837 śmierć uczonego Jana Uruskiego.

Dnia 11-go stycznia 1386 Jagiełło obrany przez stany królem polskim. — 1501 zawarte i potwierdzone przymierze z Turkami. — 1562 śmierć prymasa Jana Porębskiego. — 1655 zniesienie zbuntowanych kozaków pod Ochmatowem. — 1678 August II. przybywa do Warszawy.

Dnia 12-go stycznia 1280 śmierć Zawiszy, biskupa krakowskiego. — 1441 hołd księcia oświecimskiego i zatorskiego. — 1815 Anglia przemawia za Polską do dworów północnych. — 1831 Moskale wkraczają w granice Kongresówki.

Dnia 13-go stycznia 1697 konfederacya wojska w bezkrólewiu po Sobieskim. — 1773 manifest dworów zwiastujący rozbiór Polski. — 1793 Prusacy wkraczają do Polski. — 1851 zniesienie granicy między Kongresówką a Litwą i Rusią.

Dnia 14-go stycznia 1329 sejm prawodawczy w Chęcinach. — 1576 sejm w Jędrzejowie po ucieczce Henryka Walezyusza. — 1807 utworzenie rządu tymczasowego w Warszawie.

Dnia 15-go stycznia 1462 zabójcy Tęczyńskiego śmiercią karani. — 1582 pokój z Moskwą na lat 10 w Kiwerowej Horce. — 1619 pokój z Moskwą w Diwilinie. — 1674 sejm konwokacyjny.

Dnia 16-go stycznia 1133 najazd Czechów na Śląsk. — 1649 Jan Kazimierz wjeżdża do Krakowa na koronacyą. — 1698 August II. przybywa do Krakowa. — 1733 August II. ostatni raz wyjeżdża z Drezna do Polski.

*Rankiem głos sumienia nudzi,*
*Nad wieczorami dręczy i przeraża,*
*A nocą ze snu okropnego budzi.*

*Juliusz Słowacki.*

# Humor i satyra.

### Reminiscencye poświąteczne.

Zaprosiła na święta Kazia i Julusia,
W nadziei, że skorzysta coś na tem córusia,
Chłopczyki z apetytem i pili i jedli,
Ale co do oświadczyn nadzieję zawiedli.

* * *

— I cóżeś sobie kupił na „gwiazdkę?“

— Bardzo drogi prezent, będzie mnie kosztował 15 tysięcy.

— Co?!

— A tak, kupiłem sobie zięcia.

* * *

— Cóżeś Marysiu dostała na „gwiazdkę“ od męża?

— Pudełko doskonałych cygar hawańskich.

— A to znów co nowego? cóż ci po tem?

— Widzisz, — poczciwe moje mężysko chce, żebym miała co dzień przyjemność, częstując go wybornem cygarem po obiedzie.

* * *

### Cesarz Mikołaj pierwszy i dowcipny paroch.

Car Mikołaj I., w podróżach swych po kraju, miał zwyczaj nawiedzać cerkwie. Parochowie miejscowi, witając go u wrót świątyni, wygłaszali długie, pełne pochlebstw, napuszyste mowy, na które car mało zwykle zwracał uwagi, o czem innem myśląc.

Raz w podobnem zdarzeniu, gdy car oddany swym myślom, nie zważał na treść mowy — zaintrygowało go, że paroch nader krótko i prędko ją wypowiedział. Uderzony lakonicznością — zlecił powtórzyć.

Paroch uczynił to w słowach: „Wnijdź, najjaśniejszy władzco ziemski, w przybytek Niebieskiego Władzcy!“ i na tem skończył.

Wychodząc z cerkwi, car pochwalił mowę, a treścią jej w dobry wprowadzony humor, ofiarował parochowi sto rubli.

Paroch dziękując za ofiarę, przyjął postawę, zdającą się chcieć coś mówić.

— Czego żądasz — zapytał car.

— Najjaśniejszy Panie! — rzekł z pokorą — raczcie powtórzyć!...

Car ubawiony przytomnością i dowcipem — uśmiechnąwszy się, powtórzył datek.

* * *

### Chora.

W domu państwa X. jest guwernantka, która jest trochę roztargniona. Dziś rano guwernantka ubrała małą Lolę i chciała ją zaprowadzić do matki, lecz z przerażeniem skonstatowała, że dziecko pada. Nie może kroku zrobić, a dopiero wczoraj tak pięknie chodziło. Posłano do biura po pana X., a następnie po lekarza. Lekarz przyszedł, opukał dziecko, obejrzał języczek, zmierzył temperaturę, lecz nie mógł na razie postawić dyagnozy.

Lekarz odszedł a rodzice załamując ręce wracają do chorej Loli. Lecz guwernantka ma już wesołą minę.

— Już dobrze, Lola już zdrowa, już chodzi.

— I co się stało, co było? — pytają.

— Przez roztargnienie — mówi guwernantka—ubrałam ją w majteczki w ten sposób, że obie nóżki wpakowałam do jednej nogawki.

* * *

### Kobiety.

Kto z wami trafi do ładu,
Kto? — niechajże to kto wyzna!
Jeszcze nie było przykładu,
By sprawę wygrał mężczyzna!
Z kobietą sprawa nie lada
Kłóć się od świtu do zmierzchu:
Mężczyzny sprawa upada,
Kobieta zawsze na wierzchu.
Zaniesiesz sprawę do pana:
Pan sądzi, sądzi i sądzi,
Jej będzie sprawa wygrana,
A męża biją, że błądzi.
Zaniesiesz skargę do sądu,
To sędzia sprawę odłoży,
Żona pewno dozna względu,
A męża wsadzą do kozy.

* * *

### Co to jest, śmierć cywilna?

— Co to jest, mamusiu, śmierć cywilna?

— Jeżeli tatuś zgra się tak w karty, że nie będziemy mogli przez całą zimę nikogo przyjąć, to będzie śmierć cywilna.



# Zadanie konikowe.

Ułożył Jan Badura, czytelnik „Pracy“ z Rożdzienia na Górnym Śląsku.

| | | | | | | | | | |
|---|---|---|---|---|---|---|---|---|---|
| sto | wódz | dość | to | lio | wy | pić | fra | łe | ma |
| | je | lecz | two | szka | spra | rek | wa | ku | |
| | | mi | by | wo | nie | ca | nów | | |
| | | | zdu | szka | wy | pol | | | |
| | | | bić | nie | by | cy | | | |
| | | | Niem | go | igra | gu | | | |
| | | | skim | za | i | chem | | | |
| | | du | pan | cie | go | sza | ma | | |
| | zgnie | niż | pra | wię | pan | prze | cie | lec? | |
| si | kszy | prze | moc | nie | Bóg | wo | bo | Rym | łe |

*Rozwiązania prosimy nadsyłać do dnia 16-go stycznia włącznie.*

*Poźniej nadesłanych rozwiązań nie uwzględnimy.*

Przy rozdawaniu nagród uwzględnimy tylko te osoby, które nadesłały dokładne rozwiązanie zadania konikowego.

### Rozwiązanie łamigłówki zamieszczonej w nr. 52-im:

W
n i l
m a g o t
h a i t i
k a l k a
a f i s z
p r a g a
j ó z e f b r a n d t
i c h t y o l o g i a
j a s t r z ę b i e c
k ę d z i e r z a w y
f a g o t
o p o l e
d u n a j
a g a w a
b i r m a
b r o d y
k o n f e d e r a c i
g o s z c z y ń s k i
p a ń s k i e d z i a d y
b r a n d e n b u r g i a
a d a m n a p i e r a l s k i
s e b a s t y a n k n e i p p

### Rozwiązanie rebusa, zamieszczonego w nr. 52-im:

**Kto nie czuje swej godności — wiele traci na wartości.**

Dobre rozwiązanie **tak łamigłówki jak też rebusa** nadesłali: *z Poznania:* Pryska Sabina R.; *z Górnego Śląska:* pp. Rozalia Piecha z Burowca, Berta Badura z Rożdzienia; *z Galicyi:* p. Br. Ludwik Bach (Jan Skałuba) z Mogiły.

Nagrodę otrzymali: pp. Pryska Sabina R. z Poznania, Berta Badura z Rożdzienia i Br. Ludwik Bach z Mogiły.

# Czarna ręka.

Powieść amerykańska. Tłumaczyła z angielskiego **E. M.**

3 (Ciąg dalszy).

Młoda kobieta zadrżała i przycisnęła się mocniej do jego ramienia. Wysunęła ręce z pod długiego płaszcza, objęła jego szyję i dotknęła ustami twarzy ukochanego. Nawet w ciemności błyszczały kosztowne brylanty, któremi palce jej formalnie były pokryte.

— Nie gniewaj się, Flavio, — prosiła pokornie. — Wszystko to jest tak okropne i przechodzi moje siły! Wszakże spełniam każde twoje życzenie. Nawet i co do tego Anglika uczyniłam tak, jak mi kazałeś i..........

— Więc kiedy? — zapytał żywo.

— Dziś w nocy!

— O której?

— Tak jak mi kazałeś!

Oczy mężczyzny błysnęły radością. Z uczuciem prawdziwej wdzięczności przycisnął do ust ręce ukochanej.

— Ach, Flavio! — szepnęła Nora. — Powiedz mi czy ci to zupełnie obojętne, jeżeli ja......... jeżeli ktoś inny całuje moje ręce i jeżeli ja muszę go zachęcać do wyznania mi miłości........

— Jestem zupełnie o ciebie spokojny, — odrzekł Flavio serdecznie. — Gdybym nie był pewnym twego serca, nie prosiłbym cię o pomoc w tej sprawie!

— Ale nie pytasz nigdy, czy mi ta niebezpieczna i okrutna zabawa sprawia przykrość?

Flavio Perosini wzruszył ramionami i odrzekł prawie szorstko:

— Czy myślisz, że i mnie sprawia przyjemność moja rola zwyczajnego majtka, podczas kiedy ty żyjesz tu jak prawdziwa wielka pani i najwyższym otaczasz sie zbytkiem? Nie moja droga, przyjemnością to nie jest. Obowiązek rzadko kiedy bywa przyjemnym, a jednak spełnić go trzeba. A jeżeli kochasz mnie rzeczywiście tak, jak mi to codziennie przysięgasz, to obowiązkiem twoim jest, dzielić ze mną dobre i złe i pomagać mi w potrzebie. Ale każda chwila czasu jest drogą, nie traćmy go na wypowiadanie tego, co jest zupełnie jasnem i naturalnem. Ponieważ sprawa z Anglikiem zaszła już tak daleko, przeto nie powinniśmy się ograniczać na ujęciu jego i dwóch drugich łotrów...... Staraj się wybadać go jak najściślej! Chłopiec ten nie musiałby śmiertelnie być w tobie zakochanym, gdyby w uniesieniu miłości nie miał wszystkiego powiedzieć. Pozyskaj jego zaufanie. I w ostateczności odważ się na wszystko, to jest : powiedz mu, że przyszedł, aby cię okraść. Udawaj rozpacz, płacz nad jego zdradą, a on do nóg ci upadnie i wyzna wszystko........ Zapamiętaj tylko dokładnie każde słowo, bo ja muszę poznać całą prawdę. Przyrzeknij mu przebaczenie, miłość twoją — wszystko, czego zażąda, tylko nie wypuszczaj go z twych więzów dopóty, dopóki nie zdradzi wszystkich planów i zamiarów tej bandy. Uczynisz to, Noro?

— Tak!

— Dobrze! Nie zapominaj, jaka mnie czeka nagroda za zwyciężenie Czarnej ręki!

— Ale ty będziesz blizko mnie, Flavio!

— Naturalnie! I gdy się dowiesz o wszystkiem, albo gdyby ci groziło jakie niebezpieczeństwo — wtedy daj znak — wiesz już.......

— Wiem!

Nora smutnie skinęła głową i odeszła.

— — — — — — — — — — — — —

Kilka minut później siedziała baronowa Nora Costa w salonie i z promiennym uśmiechem słuchała czułych słów licznych swych wielbicieli. Raz po raz spoglądała znacząco na młodego Anglika, a gdy się oczy ich spotykały, występował na twarz pięknego młodzieńca gorący rumieniec.

Bob drżał z niecierpliwości. Jeszcze kilka godzin, a będzie sam z tą, którą ukochał nad wszystko w świecie!

## ROZDZIAŁ V.

Flavio Perosini wyjął z kieszeni zapałki i zapalił papierosa. Lecz pociągnął tylko kilka razy, długo i mocno, jak namiętni palacze, którzy nie mając sposobności częstego palenia, muszą nabrać w płuca dymu na zapas. Potem rzucił niedopaloną resztę na ziemię, przydepnął iskry i wyszedł z ukrycia.

Deszcz padał ciągle jeszcze, a wicher z podwójną wył gwałtownością. Parowiec zwolnił biegu, walcząc zawzięcie z bałwanami i wichrem.

Ale Perosini, energiczny i sprężysty Włoch, nie zważał na to. Nasunął czapkę na czoło i jak prawdziwy marynarz, szedł dalej krokiem kołyszącym i nieco chwiejnym. Przy schodach, wiodących na most komendanta, spotkał jednego z oficerów, który zaraz podał mu rękę na przywitanie.

— Hallo, to pan! — zawołał uprzejmie. — Dalibóg, że w pierwszej chwili nie poznałem pana! Myślałem, że to prawdziwy majtek! Właśnie chciałem iść do pana! Doskonale pan jesteś przebrany! Czy zawsze jeszcze nie można wiedzieć, czego pan właściwie szukasz na naszym parowcu?

— Dowiesz się pan tego za kilka godzin może! W przeciwnym razie — godzinę przed zarzuceniem kotwicy w Hobokach.

— Jestem djabelnie ciekawy! Dziwne i nieprzyjemne masz zadanie, mister Perosini!

Młody Włoch z uśmiechem pokręcił wąsa.

— Zdaje mi się, — rzekł, — że równie nieprzyjemnie jest siedzieć przy stole obok opryszka.....

— Nie jadłeś pan dziś obiadu z pasażerami pierwszej kajuty?

— Tak jest — w zastępstwie kapitana, który wskutek niepogody nie schodził z pomostu!

— I bawiłeś pan się doskonale! Mianowicie z sąsiadem po lewej stronie!

— Tak. Był to mister Berleigh z Edynburga, człowiek bardzo wykształcony i obyty w świecie!

— Hm, hm, a jednak obawiałbym się opowiadać mu o gotówce, jaką mam w szkatułce w mojej kajucie!

Młody oficer spojrzał na Włocha tak, jak gdyby nie rozumiał słów jego.

— Co u licha! — zawołał nareszcie, — zkąd pan wiesz o tem?

— Ja słyszę wszystko przez ścianę nawet!

— I myślisz pan, że.........

— Nic nie myślę! Zgoła nic! Myślę, że w nocy będzie burza. A teraz musimy się rozstać, jeżeli nie chcemy zwrócić na nas uwagi...... Żegnam pana!

Oficer potrząsnął głową i patrzał długo za odchodzącym, a gdy Perosini zeszedł z schodów, pobiegł za nim i zawołał go raz jeszcze:

— Na chwilkę tylko! Panie Pero.......

— Nazywam się Gumpert, panie poruczniku, — odrzekł detektiw niecierpliwie.

— All right. Chciałem się tylko spytać, czyś pan widział już naszego kapitana.

— Nie!

— Szuka on pana już od dwóch godzin jak śpilki! Jeżeli się nie mylę ma on dla pana telegram systemu Marconiego!

— Bardzo dobrze! Mówisz mi pan teraz dopiero o tem, i opowiadałeś mi poprzednio o mister Barleigh! Gdzie znajdę kapitana?

— Jest on obecnie w swojej kajucie! Zameldnję mu pana!

— — — — — — — — — — — — —

Pięć minut później stał Flavio Perosini w nawigacyjnym pokoju „Następcy tronu“ i odczytywał telegram, który mu wręczył kapitan okrętu.

Telegram zawierał widocznie jakąś ważną i zawikłaną wiadomość. Perosini otwierał ciągle książeczkę z szyframi, patrzał, porównywał i studyował mozolnie każde słowo, mające dla niego szczególniejsze znaczenie.

Stary kapitan obserwował go uważnie. Polubił on niezmiernie sprytnego Włocha i ułatwiał mu jak mógł trudne zadanie. Innemu nie byłby pozwolił bawić na okręcie w przebraniu marynarza!

Pół godziny minęło, zanim Perosini zdołał odczytać telegram. Potem złożył papier i schował go starannie w pugilaresie.

Przez chwilę siedział, w głębokich pogrążony myślach — w końcu wstał, wyprostował swoją giętką, wysmukłą postać i zwrócił się do kapitana.

— No i cóż, mister Perosini, dobre wiadomości? — zapytał kapitan, zdejmując okulary.

— Rozmaite, panie kapitanie! Jeżeli mi pan chcesz dopomódz, to wiadomość może być dobrą — jeżeli jednak prośbie mej odmówisz, to może być złą!

— Więc o cóż chodzi?

— Jest to sprawa trochę niezwykła!

Kapitan rozśmiał się.

— Zwykłemi sprawami nie zajmujesz się pan zapewne wcale, — zawołał. — Opowiedz mi ową sprawę niezwykłą.

— Kiedy spotkamy „Palacyę“?

— Nad ranem.

— Nie mógłbyś pan dokładniej oznaczyć czasu

— Owszem! Poczekaj pan chwilę.

Kapitan otworzył dziennik i spojrzał na kartę Atlantyku.

— Jeżeli „Palacya“ wyjechała wczoraj o wyznaczonej godzinie z Hoboków i nie zatrzymywała się nigdzie, to musimy ją spotkać około czwartej.

— W jakiem oddaleniu?

— Mniej więcej na trzy mile morskie.

— Panie kapitanie......

— Hm, a co?

— Ja muszę być na „Palacyi!“

— Co? Co pan musisz?

Kapitan wstał i zbliżył się do detektiwa, jak gdyby nie rozumiał słów jego.

— Muszę być dziś jeszcze na Palacyi! Niech się dzieje co chce!

Kapitan przyłożył rękę do czoła detektiwa, potem pogłaskał czule jego twarz.

— Byłoby mi bardzo przykro, — rzekł, — gdybyś pan nagle rozum stracił! Spodziewam się jednak, że masz tylko cokolwiek gorączki. Wypij szklankę wody i połóż się w łóżko!

— Nie jestem ani waryatem, ani chorym! Czy to jest niemożliwe o co proszę?

Kapitan wzruszył ramionami, zdawało mu się, że go dziecko prosi o gwiazdkę z nieba.

— Jest to tak niemożliwe, jak gdybyś mnie prosił, abym cię kazał zawieść na księżyc. Powiedz pan, jak sobie właściwie wyobrażasz tę rzecz? Mamy się zatrzymać i spuścić barkassę, aby na niej urządzić polowanie na pełnem morzu na Palacyę?

— Jak i co — to mi jest zupełnie obojętnem! Może by uwiadomić Palacyę depeszą Markoniego i prosić, aby się do nas zbliżyła?

— W takim deszczu i wichrze? No — mówmy lepiej o czem innem, mister Perosini! Jeżeli sobie tę rzecz dobrze rozważysz, to nie będziesz się gniewał na mnie, że przypuszczałem u ciebie napad szaleństwa!

Detektiw spuścił głowę i zamyślił się. Widocznie układał nowe jakieś plany.

— Co mogłoby zniewolić pana do zatrzymania okrętu, — zapytał po chwili.

— Ratowanie tonącego albo inne jakie nieszczęście.

— All right. W takim razie rzucam się w morze około czwartej.

— Hm — dobrze, ale wiesz pan, że moje chłopcy mają brzydki zwyczaj przetrzepania skóry wyratowanym samobójcom? Nie lubią oni takich ludzi i nie żałują rąk! Odradzam panu szczerze od tego eksperymentu! Zresztą nie ma to żadnego celu! Nie uznajesz pan tego?

Flavio Perosini zaklął straszliwie. Wyjął depeszę z pugilaresu, przeczytał ją raz jeszcze, a twarz jego przybrała wyraz wielkiego niepokoju i bezradności.

Kapitan bardzo był zaciekawiony.

— O co chodzi? — zapytał. — Ulżyj pan stroskanemu sercu! Może będę ci mógł pomódz w inny sposób........

Perosini potrząsnął głową. Ale po chwili przyszedł jednak do innego przekonania.

— Jest to możliwe, — rzekł, — aby telegrafem Markoniego zapytać komendanta Palacyi, czy znajduje się na niej jaki urzędnik Stanów Zjednoczonych?

— Naturalnie! Gdyby tylko deszcz przestał trochę padać, bo deszcz, jak wiadomo, utrudnia porozumienie się. W każdym razie przygotuj pan swój telegram.

— Natychmiast! I jeszcze jedna prośba, panie kapitanie — chciałbym dziś przejąć służbę stewarda w salonach!

— Ah — więc zanosi się na coś? Nie zapominaj pan jednak mego warunku! Nie wolno ci prędzej aresztować kogoś, zanim nie staniemy w porcie!

— Nawet i wtenczas nie, jeżeli chodzi o dokonaną na okręcie kradzież?

— Ah — to coś innego!

— Widzisz pan! Każ na wszelki przypadek przygotować celę więzienną!

— — — — — — — — — — — —

Deszcz zwolna ustawał. „Następca tronu“ płynął spokojnie dalej. Na Wschodzie zaczęły się już ukazywać na niebie jasne chmurki, zwiastuny wschodzącego słońca.

Im więcej takich chmur się ukazywało, tem niespokojniejszym stawał się majtek, pełniący nocną służbę w salonach na dole. Stał on w wązkim kurytarzyku, na który wychodziły drzwi kajut pierwszej klasy, i wpatrywał się w drzwi, przez które widać było promyk światła w kajucie.

Przeszedł kurytarz kilka razy — potem przyłożył ucho do drzwi i słuchał.

Lecz w kajucie głęboka panowała cisza.

Ani szeptu, ani szelestu.......

Flavio Perosini zgrzytnął zębami i zacisnął pięści tak, aż się paznogcie w ciało wpiły.

Nie chcąc jednak w ciszy nocnej wywoływać hałasu, nie mógł ani zapukać, ani drzwi wyłamywać.

Musiał czekać.......

## ROZDZIAŁ VI.

Dom, w którym się znajdowały wyłącznie biura Mortona Lenisa, był niepozorny, szary, nizki, o brzydkiej, niegustownej fasadzie, ponurej bramie i aż do drugiego piętra zakratowanych oknach. Nikt, nie znający tego domu, nie byłby przypuszczał, że to dom miliardera.

Tutaj panował wszechwładnie król giełdy i kolei. W pokojach parterowych, których okna wychodziły na dziedzieniec, płynęły prawdziwe strumienie złota, i kierowane wprawną ręką starego bogacza, przynosiły ludziom szczęście lub zniszczenie. Jemu przynosiły zawsze zyski i korzyści.

Od dwóch godzin czekali pisarze i stenografiści na otworzenie drzwi jego biura. Trzeba było ekspedyować pocztę dla Anglii, i nigdy się jeszcze dotąd nie zdarzyło, aby szef kazał czekać na siebie! Ale od kilku dni zmienił on się bardzo — pod każdym względem........

— — — — — — — — — — — —

Morton Lenis nie spojrzał nawet na stosy listów i telegramów, leżących na biurku. Rozmowa z prezydentem policyi, Mac Olseyem, zajęła go tak, że o czem innem już myśleć nie mógł. Wiadomości, jakich mu prezydent udzielił, wywołały niezmierne na nim wrażenie. Ręce mu drżały jak w gorączce i zimne dreszcze wstrząsały jego członki.

— Z tego co powiedziałem, — zaczął znów prezydent, — sądzić należy, że córka pana nie została porwaną, tylko, że dobrowolnie z kimś uciekła!

— Ależ Ewa jest dzieckiem jeszcze!

Prezydent uśmiechnął się.

— No, no, za cztery tygodnie kończy lat siedemnaście, jeżeli się nie mylę........ W tym wieku nie jest dziewczyna dzieckiem! Ale ojcowie, mianowicie tacy, którzy mają zawsze pełną głowę interesów, nie widzą tego.

— Moja córką była zawsze pod opieką i pod dozorem starszych kobiet. Nie bywała nigdzie, więc też nie miała sposobności zawierania znajomości z młodymi ludźmi. Nie uwierzę nigdy, aby miała uciekać z kimś z mego domu!

— Zkąd pan chcesz o wszystkiem wiedzieć! Nie zważałeś na córkę, bo nie podejrzywałeś jej o coś podobnego! A ja mogę panu wskazać dwóch mężczyzn, których widywała codziennie!

Lenis podniósł głowę.

— Nie może być! — zawołał.

— Owszem! Dwóch mężczyzn widywała codziennie! Jeden z nich nazywa się Porth.........

Lenis odetchnął.

— Głupstwo! — rzekł pogardliwie. — Porth, nauczyciel kompozycyi! Człowiek mający lat blizko pięćdziesiąt! A brzydki jak wilk morski!

— Tak jest! Drugi zaś nazywa się Henry Torstbak i ma lat trzydzieści. Dużo młodych i starych kobiet szaleje za nim! Jest to wielki artysta, przystojny........

Morton Lenis zmarszczył czoło i milczał, lecz przekonanym nie był jeszcze wcale.

— Człowiek takiego jak on stanowiska i wychowania byłby się zapytał ojca, czy wolno mu się starać o serce i rękę córki, — odrzekł po chwili.

— Byłbyś mu pan dał córkę? Odpowiedz sobie sam na to pytanie! Jestem pewien, że byłbyś go wyrzucił za drzwi! Widzisz pan — Torstbak i córka pana wiedzieli o tem i postanowili nie pytać cię wcale o pozwolenie.

— Więc pan myślisz doprawdy, że.......... — jęknął stary miliarder z rozpaczą.

— Chwilowo szukam tylko śladów córki pana! Kiedy był Torstbak po raz ostatni w twoim domu?

— Owego straszliwego dnia popołudniu. Ale nie tu, tylko w pałacu Ewy na Tompson Square.

— Potem go już nie widziałeś?

— Nie! Zdaje mi się przynajmniej, że go już nie widziałem!

— No, nie wyjaśnia to wprawdzie zagadki, ale — — wyobraź pan sobie, że na drugi dzień po zniknięciu miss Ewy znaleziono w lasku koło Ellis Island ciało jasnowłosego mężczyzny, w fraku i lakierkach — należącego widocznie do najlepszego towarzystwa. Nieszczęśliwy leżał z przerzniętem gardłem, w kałuży krwi......... Morderstwo to nie zostało jednak spełnionem tam, gdzie znaleziono trupa — wszystko wskazywało na to, że zamordowanego przeniesiono tam dopiero później. Stwierdzenie tożsamości sprawiało z początku dużo kłopotu, z bielizny bowiem wycięte były litery, tak samo i znaki firmy z ubrania. Dopiero gdy rodzina Torstbaka zaczęła go szukać i zameldowała na policyi jego zniknięcie, wtedy.........

— Boże Wielki! — jęknął Lenis, przyciskając ręce do czoła. — A moja córka! Moje dziecko! Gdzie........

— Dotychczas żadnego jeszcze nie wykryliśmy śladu. Zamordowanym jest rzeczywiście Henry Torstbak, ale z tego nie wynika bynajmniej, aby i córka pana miała być zamordowaną. Przeciwnie! Jestem przekonany, że miss Ewa żyje! I że znajduje się w rękach Mafiosów. Czy łotry te nie odzywały się do pana?

— Nie! Chyba pomiędzy temi listami jest coś......

I drżącemi rękami przerzucał stosy papierów. Raz po raz rozrywał kopertę, lecz odkładał ją zaraz na stronę.

— Nic! — szepnął. — Nic!

Prezydent poruszył głową.

— Jest to właściwie niepojętem, — rzekł. — Czarna ręka nie czeka długo — mając środki ku wyzyskaniu, stawia natychmiast swoje warunki! Że porwanie córki pana jest jej dziełem, o tem nie wątpię ani na chwilę — wykazuje się to już z groźnych listów, jakie pan otrzymywałeś i z bezczelnego figla, jakiego padłeś ofiarą owego wieczora. Tylko członkowie Mafii odważają się na coś podobnego!

(Ciąg dalszy nastąpi).

# Rozczarowanie.

13 Powieść z spółczesnego haremu tureckiego.

(Ciąg dalszy.)

Niekiedy znajdował pewne wyjaśnienie, ale zaraz odpychał je od siebie jako bezsensowne i powstałe z wyobraźni. „Nie — mówił sobie zawsze w takich razach — ona mogłaby być moją córką. W tem nie ma ani źdźbła rozsądku!“

A ona siadywała tuż przy jego boku, tak, że potrzebował tylko unieść swą ręką ów szmat materyi! Dlaczego giest ten, tak ponętny i prosty, był dlań zarówno niemożliwym i ohydnym jak zbrodnia?...

Czas upływał. Wkrótce będą musieli rozejść się znowu, więc niespodzianie ozwał się w nagłem postanowieniu do Dżenany:

— Posłuchaj mnie, droga przyjaciółko! Muszę poznać Twe oczy za jakąbądź cenę. Jest dla mnie niepodobieństwem pozostawić rzeczy nadal tak jak są. Zresztą tym sposobem górujesz nademną w rozmowie przez to, że każdej chwili widzisz me oczy, nawet przez swój podwójny, czy potrójny welon, który jest Twoim współwinowajcą. Proszę Cię przyszłym razem ukazać mi się nie w tym welonie, doprowadzającym mnie do rozpaczy, lecz w jaszmaku,który pozwala ujrzeć przynajmniej zrenice i brwi, nie będące bez znaczenia dla wyrazu twarzy i spojrzenia. Osłoń resztę twarzy jeźli nie może być inaczej, na zawsze, ale tylko nie oczy.. Proszę Cię... błagam!... Dlaczego kryjesz się w ten sposób, gdy tymczasem Twe kuzynki zaniechały tego? Jeźli jest to z braku zaufania to zupełnie niesłusznie!...

Dżenana milczała chwilę, zastanawiając się i borykając z sobą, poczem wyrzekła tonem poważnym i stanowczym:

— Patrz, Andrzeju i przekonaj się, czy żywię dla ciebie nieufność!

Odrzucając wysoko swój welon, odsłoniła całą twarz, aby swe młode czarowne, zielonkawe oczy utopić głęboko w źrenicach przyjaciela.

Po raz pierwszy odważyła się nazwać go po imieniu, pominąwszy listy. A wszystko to, słowa jej i giest, były nacechowane taką powagą, że kuzynki jej oniemiały z osłupienia, podczas gdy Andrzej mimowoli cofnął się pod tem śmiałem na siebie skierowanem spojrzeniem wspaniałego zjawiska.

## CZĘŚĆ PIĄTA.

### XXX.

*W sercu Stambułu — pod listopadowem niebem.*

Stek starych ulic, oczywiście w najgłębszem milczeniu zatopionych pod nizko zawieszonemi, czarnemi chmurami. Masa opuszczonych, pochyło ustawionych drewnianych domów bez planu wzniesionych grupami; wszystko to widziane zdala we właściwem oświetleniu daje obraz wielkiego, czarownego miasta, ale zblizka i poszczególnie oglądane rozczarowanie niejednego obcego turystę. Dla Andrzeja wszakże, który znał to wszystko od dawna, nawet szczegóły nie były pozbawione uroku, mianowicie zaś nagrobki ze swemi dziwacznemi napisami, które napotyka się pojedyńczo lub zjednoczone w cmentarze.

Andrzej w fezie na głowie przechodził przez tę dzielnicę według mapki, którą Melek zrobiła dla jego użytku. Raz tylko zatrzymał się przed jedną ze szop dla szczeniaków bez pana, które w Konstantynopolu włóczą się chmarami. Poczciwi ludzie wznoszą takie szopy, wewnątrz wyściełając je słoma, a nakrywając staremi dywanami. Wewnątrz ujrzał Andrzej mnóstwo psów leżących, które zaraz na jego widok powstały i witały go radośnie. Nie pogłaskał ich jednak z obawy, aby ludzie nie rozpoznali w nim Europejczyka z zachodu, Turcy bowiem jakkolwiek bardzo litościwi i dobrzy dla psów, nie dotykają ich i zachowują swe karesy dla kotów, które powszechnie doznają pieszczot. Lecz suka mimo to zbliżyła się do Andrzeja i służyła na dwóch łapach, aby przez to okazać jak bardzo czuje się zaszczycona jego przyjacielską wizytą.

„Czwarty dom na lewo od kiosku cmentarnego i cyprysu“ — tak określono mu dom, do którego prowadził go dnia tego kaprys przyjaciółek.

Czarne domino, które jednak nie zdawało się być panią Melek, oczekiwało go za drzwiami nawpółotwartemi i nie mówiąc ani słowa poprowadziło go na piętro i pozostawiło tam samego w małym orjentalnym salonie, w którym panował pomrok skutkiem gęstego okratowania okien. Wokoło dywany i wypisy z koranu na ścianach. Z ubocznego pokoju dolatywały szepty, lekkie kroki i szelest jedwabiu.

Gdy to samo domino powróciwszy skinęło na niego i wprowadziło go do przyległej sali, mogło mu się wydawać, że jest Aladynem wchodzącym do swego seraju. Trzy jego czarne upiory zwykle tak poważne zmieniły się w trzy odaliski; świeciły się od złotych tkanin i błyskotek, w tej ilości na szczęście dzisiaj już nieużywanych. Starożytne zasłony z Mekki z białej gazy z haftami spadały z pleców na ramiona i otulały włosy splecione w długie warkocze. Wszystkie trzy z twarzami całkiem nieosłoniętemi stały pochylone przed nim niby przed władcą i uśmiechały się do niego w całym blasku swej młodości z karmazynowemi usteczkami i perełkowatemi zębami.

Były to kostyumy i ozdoby babek, które przechowane w walizach przez trzy przyjaciółki, teraz posłużyły im z wielkim gustem do metamorfozy. Po za wrzekomemi odaliskami, ale w cieniu na dywanach znajdowało się jeszcze pięć czy sześć siostrzyc ich, w czarnych czarszafach i gęsto zawualowane i nieme te postacie powiększały jeszcze tajemniczość obrazu.

Wszystko to, czego nie byłyby zrobiły dla nikogo innego, było niesłychanie śmiałym krokiem, urągającym niebezpieczeństwu. Sprawiało to tym trzem kobietom przyjemność uważać go za baszę i tańczyć przed nim... taniec prababek z doliny Karadżiamiru, bardzo wolny, bardzo przyzwoity, przy którym obnażone ramiona wyginały w pełnych gracyi arabeskach. Jedna z zawualowanych kobiet w głębi sali przygrywała im na gitarze azyatyckiej, taniec pasterski. W tych wspaniałych kostyumach stały się znowu praw-

dziwemi kobietami wschodu i nikt nie podejrzywałby w nich wysoko ukształconych kobiet, które wczytywały się w Kanta i Schopenhauera.

— Dlaczego straciłeś dzisiaj swój wesoły humor? — pytała go Dżenana bardzo cicho. Czy cię to nudzi co dla ciebie wymyśliłyśmy?

— Nie, przeciwnie. Jestem oczarowanym. Nie zobaczę już nigdy więcej nic tak rzadkiego i pięknego. Co mnie usposabia smutnie, powiem ci gdy odejdą te panie. A gdyby to co zamierzam ci powiedzieć miało cię wprowadzić w zdumienie, nie sprawi ci jednak przykrości. Tego jestem pewnym.

Czarne domina miały podobno zamiar oddalić się wkrótce.

Pomiędzy temi „niewidzialnemi“, które bez wątpienia były usposobione nieprzychylnie względem więzów narzuconych kobietom, rozpoznawał Andrzej po głosie dwie młode panny, które były pewnego dnia w Sułtan-Selim — te, które miały babkę Francuzkę i roiły o ucieczce. Melek chciała je namówić, aby także zdjęły swe welony z oburzenia przeciwko tyrańskim przepisom, ale wzbraniały się, mówiąc ze śmiechem:

— A same potrzebowałyście sześciu miesięcy, aby zdecydować się na podniesienie swych wualów!

Była między niemi inna jeszcze, jak się zdawało młoda kobieta, która mówiła po francusku jak Paryżanka i która interesowała się bardzo przyrzeczoną przez Andrzeja książką.

— Niezawodnie — mówiła — pragnie pan, tak jak my, sportretować turecką kobietą, w jej obecnym duchowym rozwoju? Doskonale!... Pozwól pan że lubo nieświadoma i nieudolna, wypowiem o tem moje zdanie!... Jeżli napisze pan powieść nieosobistą, z jaką bohaterką lub grupą kobiet jako bohaterkami, zachodzić będzie to niebezpieczeństwo, że przestanie pan być nadal porywającym autorem, którego wszystkie w panu tak lubimy... Czy nie mogłaby ta powieść być czemś w rodzaju dalszego ciągu „Medżi“?... Pański powrót na wschód po wielu latach...

— Wszystko to powiedziałam także panu Shery‘emu — wtrąciła Dżenana — ale moje zdanie przyjęto tak źle, że już nie śmiem nieszczęsnych mych myśli o tej książce wyjawiać.

— Źle przyjęte!? — podjął Andrzej, śmiejąc się. — Być może, ale czy mimo to nie obiecałem, że z wyjątkiem wprowadzenia mej osoby, zrobię wszystko jak zechcesz?... A więc proszę wyłożyć mi swe zapatrywanie zaraz i te zakapturzone panie, które przysłuchują się naszej rozmowie, zdecydują się może także wyjawić swe myśli?

Czarna pani, która poprzednio przemawiała, zabrała znowu głos:

— Miłość czy romans kobiety wschodu zmienia się bardzo mało. Zawsze składa się z wielu listów i tylko przelotnych schadzek. Miłość mniej lub więcej skończona, a w końcu... śmierć, w rzadkich wypadkach tylko ucieczka... Mówię naturalnie o miłości do cudzoziemca, jedynej do jakiej wykształcona Turczynka naszych czasów jest zdolną, jeźli jest uświadomioną.

— Jak niesprawiedliwemi robi panie względem mężczyzn swej ojczyzny duch opozycyjny i emancypacyjny! — próbował Andrzej odeprzeć. — Już między tymi, których sam znam, mógłbym wskazać wielu bez porównania więcej interesujących od nas i...

— Ucieczka!? — wpadła tutaj Dżenana. — Nie, powiedzmy raczej: śmierć... Naprowadza mnie to na to, co niedawno radziłam panu Shery‘emu. Dlaczego nie miałby obrać formy takiej, która pozwoliłaby mu swe osobiste wrażenia wypowiedzieć, chociażby sam nie figurował w powieści? Więc na przykład tak: Pewien cudzoziemiec tak do niego podobny jak brat... mężczyzna równie jak on zepsuty przez życie i w kołach kobiet gorliwie czytywany autor przybywa znowu do Stambułu który dawniej bardzo lubił. Czy odnajduje tutaj nanowo cały zapał młodzieńczy? — Na to musi pan Shery odpowiedzieć. Napotyka między naszemi siostrami jednę, która kiedyś pisała do niego jak tyle innych olśnionych jego sławą... I teraz to co byłoby przed dwudziestu laty miłością, staje się tylko ciekawością artysty... Przyjmuje kilka po sobie następujących zaproszeń na schadzki, bo jest to czemś niezwykłem, niebezpiecznem. I cóż innego może wywiązać się z tego, jeźli nie miłość... Ale tylko u niej, nie u niego, bo jest on tylko artystą, który widzi w tem wszystkiem jedynie stronę awanturniczą... Lecz dość tego!... zawołała raptem, podnosząc się z dziecinnem wzburzeniem. — Słuchacie wszyscy w milczeniu i każecie mi ciągle mówić jakbym była oficyalną feministką! Sama sobie wydaję się śmieszną! Lepiej raz jeszcze zatańczę... taniec mój ojczysty. Więcej to stosuje się do mego kostyumu odaliski. Dalej, Szahando, zagraj nam proszę „korowód młodych pasterek“, który poprzednio przed przyjściem pana Shery‘ego ćwiczyłyśmy.

To mówiąc, ujęła ręce obu kuzynek, by rozpocząć pląsy.

Jednakże zawualowane towarzyszki zaprotestowały przeciwko temu, domagając się gwałtem dokończenia historyi tak nagle przerwanej. Przy tem w oczekiwaniu usadziły Dżenanę między sobą i przyciągnęły do siebie jej kuzynki.

— Koniec tej historyi? — pytała Dżenana. Ależ wydaje mi się, że skończona... Czyż nie zgodziłyśmy się na to, że miłość muzułmanki do cudzoziemca nie może zakończyć się inaczej jak śmiercią lub ucieczką... Moja bohaterka jest zbyt dumną, aby pójść za cudzoziemcem w świat, więc umiera... nie tyle z miłości do tego mężczyzny ile... jeźli chcecie... skutkiem niezłomnych kajdan haremowych, które nie dają jej możności pocieszenia się po zawodzie sercowym i rozwianem marzeniu... za pomocą czynu, pracy...

Podczas gdy to mówiła, Andrzej sondował ją wzrokiem. Jej dykcya i sposób mówienia wydały mu się tem oryginalniejsze u tego zjawiska odaliski, w kostyumie może sto lat starym. Swe ciemno zielonkawe źrenice miała bez przerwy utkwione na suficie sali z niezrozumiałemi arabeskami i mówiła z spokojem osoby, która tworzy ładną opowieść, nie będąc w niej osobiście interesowaną. Była całkiem nieodgadnioną.

Gdy wreszcie czarne panie oddaliły się, zbliżyła się do niego z prostotą i rzekła z ufnością jak dobry kolega:

— A teraz... kiedy one odeszły... Co ci jest?

— Co mi jest?... Kuzynki twe mogą słyszeć?

— Z pewnością — odparła, nawpół urażona — Jakie tajemnice moglibyśmy mieć przed niemi, ty zarówno jak ja? Nie mówiłam ci od początku, że my tworzymy jednę duszę wobec ciebie?

— A więc... Patrząc na ciebie jestem olśniony i prawie trochę przerażony pewnem podobieństwem... Już poprzednio, gdy odsłoniłaś swój wual po raz pierwszy, zauważyłaś może, że cofnąłem się krok... Odnalazłem u ciebie ten sam zarys twarzy, to samo spojrzenie, te same brwi, które ona miała zwyczaj łączyć ze sobą za pomocą „Alkanny“. A wtedy nie widziałem jeszcze twych włosów, które oglądałam dopiero dzisiaj, tej samej barwy tak samo splecionych jak u niej...

Na to Dżenana odrzekła poważnie:

— Uważasz, że jestem podobną do Nedżiby... Jestem tem tak przejętą jak ty... A jeźli teraz powiem ci, Andrzeju, że od pięciu czy sześciu lat było najmilszem mojem marzeniem...

W milczeniu patrzeli sobie w oczy. Jej brwi uniosły się nieco, jakby chcąc pozwolić oczom jej, by rozszerzyły się jeszcze więcej i mógł teraz widzieć jej źrenice w całej wielkości lśniące jak gwiazdy. Zeyneba i Melek trzymały się na uboczu.

— Pozostań tak na miejscu bez ruchu — zawołała nagle Dżenana — a wy chodźcie bliżej, aby przyjrzeć się naszemu przyjacielowi. Tak jak jest, w tej postawie i w tem oświetleniu czy nie możnaby go wziąść za mężczyznę zaledwie trzydziesto-letniego?...

Słowa te były dla niego okrutnym ciosem, gdyż zapomniał jak mu się to nieraz zdarzało, w jakim jest wieku i w tej chwili oddawał się złudzeniu że jest jeszcze istotnie młodym. Przypomniał sobie, że już rozpoczął się schyłkowy okres jego życia.

„Cóż ja tu robię — pytał się między temi dziwnemi kobietami, będącemi wcieleniem młodości? Jakbądź niewinnym, naiwnym jest ten awanturniczy stosunek nasz, w który się wplątałem, dla mnie nie ma już romantycznych miłości“...

Pożegnał się z niemi chłodniej może niż zwykle i poszedł samotny przez puste ulice wielkiego miasta, w które wstępował zimny dzień jesienny.

Daleką miał drogę przed sobą; prowadziła go ona przez niezliczone, ciche ulice to znowu przez uderzająco ożywione arterye, w których panował natłok i ciżba. Wreszcie dostał się do swego mieszkania, które dnia tego o zmroku jeszcze więcej wydało mu się pustem i smutnem niż zwykle. Dlaczego nie rozpalono ognia? Nie zapalono lamp?

Przywołał swych tureckich służących, którzy byli do tego zobowiązani, ale zjawił się jego francuzki kamerdyner i, pospiesznie zabierając się do spełnienia jego życzeń, wołał, ramiona wznosząc ku niebu:

— Wszyscy pobiegli na uroczystość! Karnawał turecki rozpoczyna się dzisiaj; nie było podobno ich utrzymać.

Istotnie! Andrzej zapomniał o karnawale. Był to dzień 8-go listopada, który w tym roku schodził się z początkiem miesiąca Ramadan'a. W ciągu tego miesiąca jest przez cały dzień ścisły post, natomiast wieczorem odbywają się różne zabawy i iluminacye.

Zbliżył się do okna, dającego widok na Stambuł, by zobaczyć czy wielkie ognie sztuczne, które widział w swej młodości przed ćwierć wiekiem, równie pięknie się odbywają jak w roku 1322 Hegiry. Tak! Nic się nie zmieniło. Nieporównanie piękne kontury miasta wynurzały się już ze zapadających ciemności nocnych. W niektórych punktach wybuchło światło i rozchodziło się na wszystkie strony z wielką szybkością. Wszystkie minarety, na których świeciły się podwójne lub potrójne wieńce świateł podobne były do olbrzymich kolosów, noszących na pewnej wysokości ogniste pierścienie. A arabskie napisy ponad świątyniami na niewidocznych drutach wzniesione, odznaczały się w powietrzu tak wspaniale, że zdawało się jakby były utworzone z gwiazd.

Andrzej przypomniał sobie, że Stambuł w ciągu nocy Ramadanu jest pełnym muzyki, śpiewów i tańców. W nieprzebranych tłumach nie widuje się wprawdzie kobiet, ani nawet w czarszafach, gdyż wszystkie po zachodzie słońca muszą być za zakratowanemi oknami, ale pomiędzy napływowym motłochem można widzieć tysiące różnych strojów ze wszystkich stron Azyi, a nadto nargileje, teatry dawne i chińskie kalejdoskapy.

Zapominając raz jeszcze o swym wieku Andrzej wdział swój fez i poszedł jak jego służba krajowa do iluminowanego miasta po drugiej stronie wód, aby wziąść udział w oryentalnej uroczystości.

XXXI.

W dniu 12-go listopada czyli 4 Ramadana, przyszła wreszcie do skutku od tak dawna projektowana wycieczka do grobu biednej Nedżiby. Było to najniebezpieczniejszem przedsięwzięciem. Trzy przyjaciółki odkładały wycieczkę tę dotychczas częścią ze względu na zapory, które trzeba było pokonać, częścią dlatego, że wymagało to dłuższego czasu, bo cmentarz leżał bardzo daleko.

Poprzedniego dnia pisała Dżenana do Andrzeja, podając mu jeszcze ostatnie wskazówki: „Jest dzisiaj tak piękne powietrze i jutrzejszy dzień będzie nam się uśmiechać!“ Niemniej Andrzej życzył sobie bardzo, aby ta pielgrzymka mogła się odbyć podczas spokojnego, jasnego dnia listopadowego, w którym nieraz słońce rozsiewa tyle ciepła, że można by sądzić, iż powróciło lato. Wieczorami po takich dniach jesiennych Stambuł staje się zupełnie różowym a przeciwległy brzeg azyatycki niemal żarzącym, aczkolwiek tylko na krótki czas, bo potem, skoro noc zapadnie, nastaje zimno północne.

Lecz nie! Gdy Andrzej rano otworzył okiennice, ujrzał niebo zachmurzone i posępne i wiatr wiał od Czarnego Morza. Domyślał się, że o tym samym czasie przyjaciółki jego wyglądały przez zakratowane okna z troską ku niebu. Jednakże nie było można zwlekać, bo przygotowania kosztowały tyle czasu i zachodu, że o odkładaniu wycieczki nikt nie myślał, tem mniej, że było rzeczą wątpliwą czy później wogóle dało by się pielgrzymkę tę urządzić.

O oznaczonej godzinie, o wpół do drugiej Andrzej we fezie znajdował się przed drzwiami owego tajemniczego domu, gdzie przed czterema dniami przyjaciółki zgotowały mu taką niespodziankę, przebrawszy się za odaliski. Zastał je już gotowe w czarnych zasłonach. Kahenda Hanum, pani tego domu, prosiła aby wolno jej było przyłączyć się, a zatem cztery zakapturzone postacie wyruszyły pod przewodnictwem Andrzeja. Wszystkie były wzburzone i drżące z powodu śmiałego tego kroku. „Powinieneś mieć tureckie nazwisko — mówiły do niego — na wypadek, że będziemy zmuszone mówić do ciebie w obecności innych.

— Dobrze — odparł nazywajcie mnie, aby głowy sobie nie łamać Arifem bey'em.

Dawniej bawiło go gdy nazywano go Arifem Effendim; odtąd zaś mógł był postąpić o stopień wyżej i dlatego nazwał się Arif bey“.

Wkrótce potem — coś niesłychanego w Stambule! — postępowali wspólnie ulicą: cudzoziemiec z czterema muzułmankami: Arif bey ze swym haremem.

Przyszedłszy do miejsca, gdzie stały dorożki wzięli dwa z tych dosyć niewygodnych powozów: jeden dla beya drugi dla czterech czarnych postaci, bo nie godzi się, aby mężczyzna wsiadał do tego samego powozu co kobiety jego haremu.

Pomiędzy bramą Adrjanopolską a Ejubem wysiedli przed olbrzymim murem byzantyńskim, bo droga dalej jest dla powozów niedostępną. Poszli pieszo najpierw obok ruin starych wałów obronnych, przez których szczerby było można niekiedy rzucić okiem na Stambuł. Trzeba się było mozolnie piąć w górę, co mianowicie dla zakapturowanych kobiet było uciążliwem.

Andrzej przypominał sobie, że przed ćwierć wiekiem odbywał tę samą drogę ze swoją biedną Nedżibą. Była to jedyna przechadzka, którą ośmielili się razem odbyć. A jak byli szczęśliwi oboje w blaskach swej młodej miłości! Byli poprostu dziećmi, które grożącemu niebezpieczeństwu stawiały czoło. Wiele, wiele lat upłynęło, odkąd biedne to dziecko spoczywa w ziemi, a on nie zapomniał jej...

(Ciąg dalszy nastąpi.)